

PROCH I MAGIA. WYBUCHOWA MIESZANKA.  
„OBIETNICA KRWI” JEST NAJLEPSZYM DEBIUTEM, JAKI CZYTAŁEM OD LAT.

PETER V. BRETT

A detailed illustration of a man, Brian McClellan, sitting on a throne. He is wearing a dark blue military-style coat with gold epaulettes and several medals on his chest. He has a beard and is looking directly at the viewer with a serious expression. He is holding a long, dark rifle across his lap. The throne is ornate and dark, set against a background of red curtains and a dark, smoky atmosphere. The floor is covered in pools of blood, and a crown lies on the floor to the right. The overall tone is dark and dramatic.

BRIAN  
McCLELLAN  
OBIETNICA  
KRWI

TO KONIEC EPOKI KRÓLÓW...  
ZGINĘLI Z MEJ RĘKI.



fabryka słów



BRIAN  
McCLELLAN

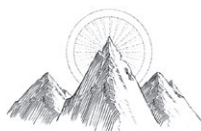
OBIETNICA  
KRWI

TRYLOGIA MAGÓW PROCHOWYCH

*Obietnica krwi*

*Krwawa kampania*

*The Autumn Republic*



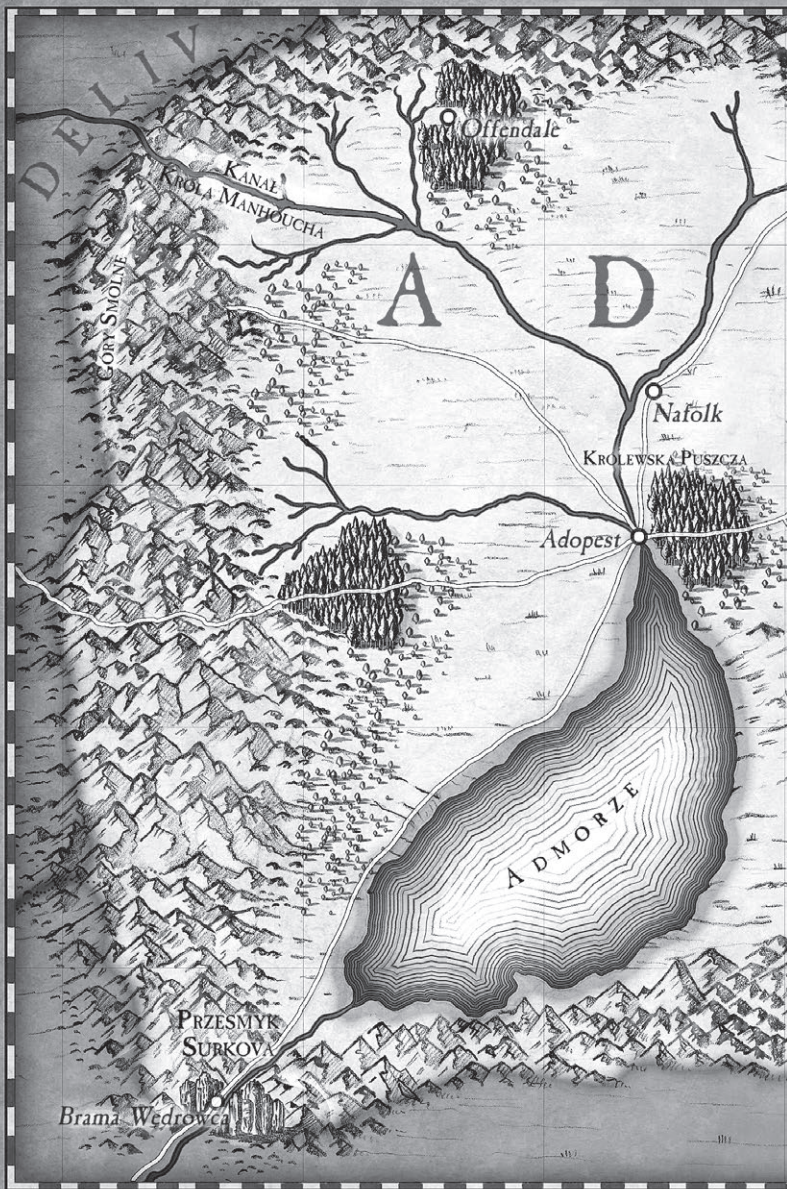
TŁUMACZYLI

MACIEJ NOWAK-KREYER

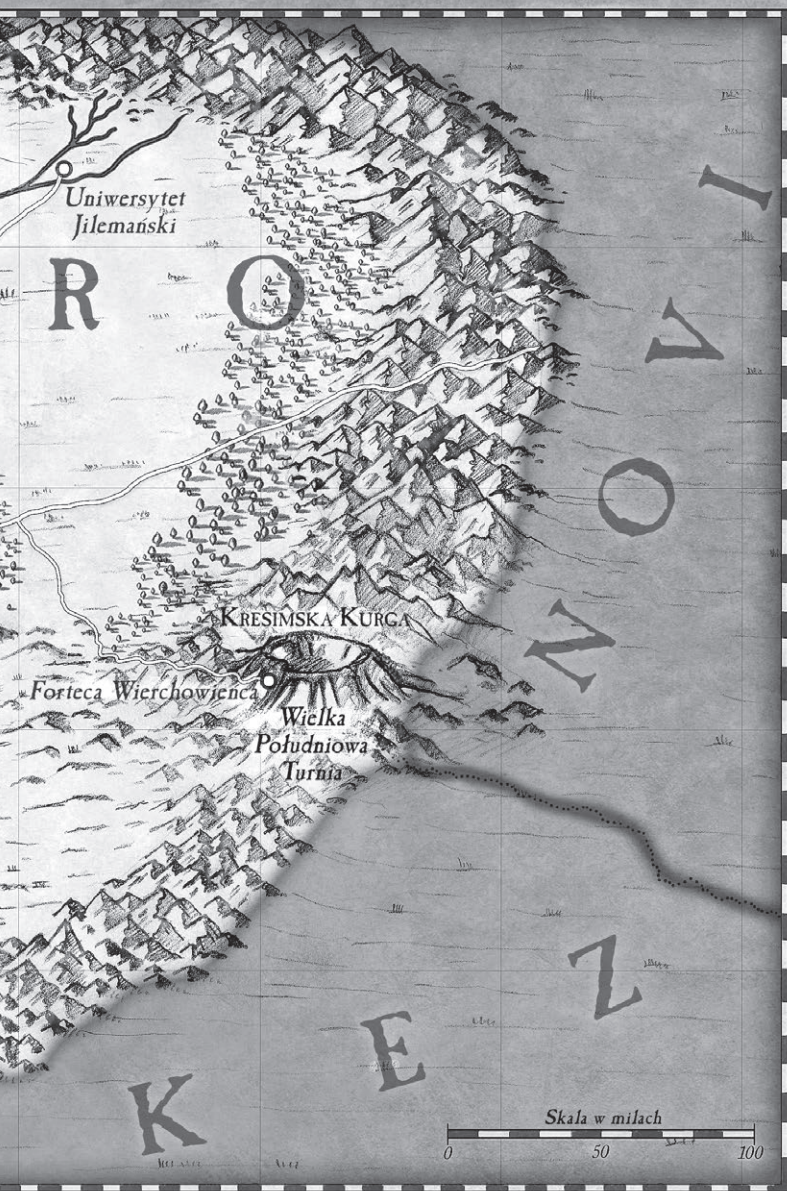
DOMINIKA REPECZKO

fabryka słów®

Lublin 2015



i sąsiadujące kraje



2012

# ADOPEST

i okolice

- |                              |                        |
|------------------------------|------------------------|
| 1. Uniwersytet Adopestański  | 6. ulica Czarna        |
| 2. Mur Adoma                 | 7. aleja Hruscha       |
| 3. Pałac Wschodzącego Słońca | 8. Piekary             |
| 4. Dzielnica Samalińska      | 9. Trezor              |
| 5. latarnia Gostaun          | 10. Plac Elekcyjny     |
| 12. Centestershire           | 11. Archiwum Publiczne |



FORTECA WIERCHOWIENÇA  
I  
KRESIMSKA KALDERA



Skala w milach

0 5 10

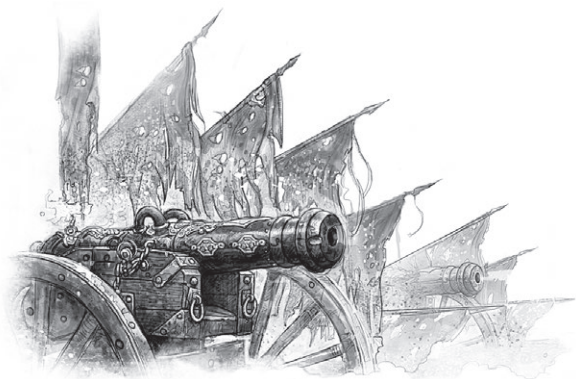
2012

*Dla Taty*

*– za to, że nigdy nie wątpiłeś, iż dotrę tak daleko.*

*Nawet kiedy miałeś ku temu powody.*





# I

## ROZDZIAŁ

Adamat ciasno zapiął płaszcz pod szyją, bo nocne powietrze okazało się przesycone nieprzyjemną wilgocią. Obciągnął rękawy i poprawił gors surduta, zdecydowanie zbyt obcisłego w talii. Ostatni raz miał ten ubiór na sobie przed pięciu laty, ale gdy przyszło wezwanie od króla, Adamatowi zabrakło czasu, by odebrać od krawca pasujące ubranie. W dodatku letni strój nie chronił przed chłodem wciskającym się przez okienko powozu.

Zbliżał się poranek, jednak świt z pewnością nieprędko przedrze się przez mgłę. Adamat czuł tę nietypową aurę. Powietrze było stanowczo zbyt wilgotne, nawet jak na wczesną wiosnę w Adopeście, a do tego panował paskudny ziąb. Wróżbici z Alei Nomana powtarzali, że to zły omen. Ale kto dzisiaj słuchał wróżbitów? Adamat pomyślał, że to się jak nic skończy przeziębieniem, i zastanawiał się, dlaczego został wyciągnięty z łóżka o tej nieludzkiej porze.

Powóz zbliżył się do głównej bramy Pałacu Wschodzącego Słońca i minął ją, nie zwalniając. Adamat zacisnął palce na nogawkach spodni i wyrztał przez okno. Na posterunku nie było strażników. Co dziwniejsze, kiedy powóz toczył się szeroką aleją między fontannami, nie dostrzegł ani jednej świecącej latarni. Pałac był zwykle tak rześcicie oświetlony, że można go było zobaczyć z miasta nawet w najbardziej zachmurzoną noc. Dzisiaj ogrody tonęły w ciemnościach.

Adamata to bynajmniej nie martwiło. Manhouch i tak dość już wydał pieniędzy z podatków na swoje zbytki. Adamatowi wydawało się, że przy czarnych gardzielach wejść do żywopłotowych labiryntów widzi przemykające po trawnikach postacie. Co to...? Tylko rzeźby. Odchylił się na oparcie, odetchnął głęboko. Czuł głośne, szybkie uderzenia własnego serca i ciasną obręcz na żołądku. Może jednak powinni zapalać te latarnie...

Jakaś część Adamata, tego Adamata, który kiedyś był inspektorem i w nocie takie jak ta przemierzał najciemniejsze uliczki, by łapać złodziei i kieszonkowców, śmiała się w kułak. *To twoje oczy kiedyś śledziły innych z ciemności.*

Powóz zatrzymał się z szarpnięciem. Adamat czekał, aż woźnica otworzy drzwi. Okazało się jednak, że mógłby tak sobie czekać do rana. Usłyszał tylko pukanie w dach oraz burknięcie:

– To tutaj.

Niegrzecznie.

Wysiadł. Ledwie zdążył złapać kapelusz i laskę, a woźnica strzelił lejcami i powóz odjechał, turkocząc wśród nocy. Adamat posłał w ślad za nim ciche przekleństwo, po czym odwrócił się, spoglądając na Wschodzące Słońce.

Arystokraci nazywali Pałac Wschodzącego Słońca „klejnotem Adro”. Wznosił się na wysokim wzgórzu, na wschód od Adopestu, tak więc co rano słońce wstawiało nad bryłą pałacu. Jakaś wyjątkowo odważna gazeta nazwała go diamentowym pierścieniem na palcu głodującego nędzarza. Porównanie było bardzo trafne w tych chudych latach. Królewska дума nie napełni wszak żołądków poddanych.

Adamat stał pod głównym wejściem. Przy świetle dziennym albo zapalanych wieczorem latarni można było podziwiać wspaniałą aleję z fontannami i marmurowymi chodnikami, wiodącą ku olbrzymim, obitym srebrną blachą wrotom, które jednak zdawały się małe w porównaniu z ogromem szerokiej fasady tej największej budowli Adro. Adamat nasłuchiwał miękkich kroków patroli Hielmenów. Mówiono, że gwardia królewska pilnuje każdego zakątka ogrodów. Paradują z naładowanymi muszkietami, lśniącymi bagnetami, a ich szaro-białe szarfy wyglądają wyjątkowo ponuro wśród zielono-złotego przepychu ogrodów. Jednak nie było słychać ani kroków, ani szumu wodotrysków. Ponoć kiedyś fontanny wyłączało tylko, gdy umierał król. Ale Adamat miał pewność, że nie wezwano by go, gdyby Manhouch zmarł. Wygladził przód surduta. Tutaj, blisko budynku, paliło się już kilka latarni.

Z ciemności wyłoniła się jakaś postać. Adamat mocniej zacisnął dłoń na lasce, gotów w każdej chwili dobyć ukrytej w niej szpady.

Do Adamata podszedł mężczyzna w mundurze, jednak w słabym oświetleniu nie można było dostrzec dystrykcji ani innych szczegółów. W rękę trzymał strzelbę lub muszkiet, swobodnie, lecz lufą skierowaną w Adamata. Na głowie miał czapkę z płaskim denkiem

i sztywnym daszkiem. Jedno było pewne. Nie należał do Hielmenów. Ci zawsze nosili wysokie czapy z pióropuszcami i łatwo ich było rozpoznać.

– Jesteś sam? – usłyszał Adamat.

– Tak – odparł. Uniósł ręce i obrócił się wokół własnej osi.

– W porządku. Chodź.

Żołnierz wysunął się przed Adamata i pociągnął za wykładane srebrem skrzydło. Uchyliło się powoli, opornie, chociaż mężczyzna uwiesił się na nim ciężarem całego ciała. Adamat tymczasem przyglądał się szczegółom mundurowej kurtki. Była ciemnoniebieska, ze srebrnymi obszyciami. Adrańska armia. Teoretycznie podległa królowi. W praktyce trzymał ją na smyczy jeden jedyny człowiek: marszałek polny Tamas.

– Odsuń się, przyjacielu – polecił żołnierz. W jego głosie zadźwięczała odrobina zniecierpliwienia, cień napięcia, powodem tego mógł być jednak ciężar drzwi. Adamat usłuchał. I dopiero gdy żołnierz wezwał go gestem, przekroczył próg pałacu.

– Proszę iść prosto – usłyszał chwilę później. – Przy diademie w prawo, a potem prosto przez Diamentową Galerię. Bez zatrzymywania, aż do Komnaty Odpowiedzi.

Drzwi zamknęły się za nim z głuchym łoskotem.

Stał teraz samotnie w pałacowym przedsionku. *Adrańskie wojsko...* – powtórzył w myślach. Co tutaj robił ten żołnierz, na terenie królewskiej siedziby? I dlaczego nigdzie nie było śladu po królewskich gwardziściech? Najbardziej przerażające wyjaśnienie przyszło mu do głowy pierwsze. Zamach stanu. Czyżby wezwano armię, by uporała się z buntownikami? W Adro istniało kilka silnych obozów: najemnicy ze Skrzydeł Adoma, królewska kamaryła, Straż Górską oraz potężne arysto-

kratyczne rody. Każda z grup mogła przysporzyć Manhouchowi kłopotów. Jednak teoria o zamachu raczej nie miała sensu. Gdyby doszło do przewrotu, teren pałacu stałby się polem bitwy albo zostałby zrównany z ziemią przez kamarylę.

Adamat minął diadem – ogromną kopię adrańskiej korony. Miał okazję przekonać się na własne oczy i zgodzić z opinią, że to rzecz w fatalnym guście. Ściany i podłoga Diamentowej Galerii były szkarłatne i zdobione złotym motywem liści. Na suficie lśniły tysiące maleńkich klejnotów, od których sala wzięła swą nazwę. Migotały w blasku jedyne go żyrandola. Maleńkie płomyki kandelabru drżały, jak gdyby na wietrze. W pomieszczeniu panował ziąb.

W miarę jak Adamat zbliżał się do drugiego krańca Galerii, czuł się coraz bardziej nieswojo. Jedyne odgłosem rozlegającym się w pałacu było echo jego własnych kroków na marmurowej posadzce. Rozbite okno wyjaśniało panujący tu chłód. Czyżby efekt jednego ze słynnych wybuchów króla? A może jednak dzieje się tu coś innego? Puls huczał Adamatowi w uszach. Tam, za kotarą. Buty? Adamat przetarł oczy. Gra świateł. Dla pewności podszedł i odsunął draperię.

Cienie skrywały ciało. Adamat pochylił się i dotknął skóry leżącego. Ciepła, ale męczyzna nie żył. Miał na sobie szare spodnie z białymi lampasami i pasującą do nich bluzę. Nieopodal leżało wysokie czako z białym pióropuszem. Hielmen. Półcienie tańczyły na młodej, gładko ogolonej twarzy, zastygłej w wyrazie spokoju. Gwardzista wyglądałby, jakby spał, gdyby nie dziura po kuli w skroni i ciemna plama krwi na posadzce.

Jednak podejrzzenia Adamata okazały się zgodne z prawdą. Miało tu miejsce jakieś starcie. Czy to

Hielmeni się zbuntowali i przeciwko nim sprowadzono wojsko? Nie, to także nie miało sensu. Hielmeni byli fanatycznie wierni królowi, a wszystkie sprawy na terenie pałacu załatwiłaby kamaryla.

Adamat zaklął cicho. Pytań było coraz więcej. Podejrzewał, że już wkrótce pozna jakieś odpowiedzi.

Pozostawił ciało za kotarą. Uniósł laskę i przekreślił jej trzon, obnażając kilka cali ostrza. Podeszedł do wysokich drzwi, przed którymi stały dwa posągi zakapturzonych postaci trzymających berła. Zatrzymał się przed wiekowymi rzeźbami, odetchnął głęboko i zawadzając spojrzeniem o tajemny napis wyryty nad drzwiami, przekroczył próg.

W porównaniu z Komnatą Odpowiedzi Diamentowa Galeria wydawała się niewielka. Po dwóch stronach pomieszczenia biegły schody tak szerokie, że zmieściłyby się na nich trzy powozy, jeden obok drugiego. Prowadziły na balkon ciągnący się wzdłuż całej długości pomieszczenia. Poza królem i jego Uprzywilejowanymi magami z kamaryli jedynie kilka osób bywało w tej komnacie.

Pośrodku, na niewysokim podium stało krzesło, wokół niego zaś klęczniki, na których członkowie kamaryli przysięgali swemu suwerenowi. Choć nie dało się dostrzec żadnych źródeł światła, w sali było jasno.

Na schodach po prawej siedział jakiś mężczyzna. Starszy od Adamata, około sześćdziesiątki, siwy. Nieliczne pasma czarnych włosów widoczne były jeszcze w krótko przyciętych wąsach i brodzie. Ogorzałą twarz charakteryzowały mocna, choć niezbyt wydatna szczęka i wysokie kości policzkowe. W kącikach oczu i ust wyraźnie rysowały się zmarszczki. Mężczyzna miał na sobie granatowy mundur ze srebrnym emblematem ba-

ryłki prochu, przypiętym nad sercem, oraz dziewięcioma złotymi belkami naszytymi na prawej piersi, każda symbolizowała pięć lat służby w adrańskim wojsku. Mundurowi brakowało oficerskich epoletów, ale znużenie i doświadczenie widoczne w brązowych oczach mężczyzny nie pozostawiało wątpliwości, że nie raz dowodził oddziałami na polu bitwy. Na stopniu obok leżał pistolet z odwiedzionym kurkiem. Mężczyzna podpierał się na schowanym w pochwie ostrzu i obserwował, jak strużka krwi spływa ze stopnia na stopień, rysując ciemną linię na biało-żółtym marmurze.

– Marszałek polny Tamas – powiedział Adamat. Wsunął szpadę z powrotem do laski i obrócił trzpień, aż kliknęła zapadka.

Mężczyzna uniósł wzrok.

– Nie sądzę, żebyśmy się już kiedyś spotkali.

– A jednak. Czternaście lat temu, na balu dobroczynnym, wydanym przez lorda Aumena.

– Kompletnie nie mam pamięci do twarzy – przyznał marszałek. – Proszę o wybaczenie.

Adamat nie potrafił oderwać spojrzenia od strumyka krwi.

– Panie, zostałem tutaj wezwany. Nie powiedziano mi jednak, przez kogo i z jakiego powodu.

– Owszem – odparł Tamas. – To ja pana wezwałem. Z rekomendacji Cenki, jednego z moich Naznaczonych. Mówił, że służyliście razem w policji, w dwunastej dzielnicy.

Adamat przywołał z pamięci postać Cenki, niskiego mężczyzny o potarganej brodzie i zamiłowaniu do wina oraz dobrego jedzenia. Ostatnio widzieli się z siedem lat temu.

– Nie wiedziałem, że został prochowym magiem.

– Zwykle staramy się odkrywać takie talenty naj-  
szybciej jak możemy. Jednak u Cenki objawił się póź-  
no. W każdym razie – Tamas machnął ręką – mamy  
problem.

– Pan... potrzebuje mojej pomocy? – Adamat zamru-  
gał z niedowierzaniem.

Marszałek uniósł brew.

– Czy to aż taka nietypowa prośba? Był pan detekty-  
wem w policji, zacnym sługą Adro, a Cenka mówił także,  
że ma pan doskonałą pamięć.

– Nadal jestem.

– Hę?

– Nadal jestem detektywem. Tyle że już nie w policji.

– Doskonale. W takim razie w tym, że potrzebuję  
pana usług, nie ma nic aż tak zaskakującego.

– W istocie nie ma – zgodził się Adamat. – Jednak  
to Pałac Wschodzącego Słońca. W Diamentowej Galerii  
leży martwy Hielmen, a... – Wskazał strumyk krwi na  
schodach. – Gdzie jest król?

Tamas przechylił głowę.

– Zabarykadował się w kaplicy.

– Dokonał pan zamachu stanu – stwierdził Adamat.  
Kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Na szczycie schodów  
pojawił się żołnierz. Delivijczyk, ciemnoskóry mieszka-  
niec północy. Miał na sobie taki sam mundur jak mar-  
szałek, ale na jego piersi widniało tylko pięć złotych  
belek. Za to srebrna baryłka wskazywała, że także jest  
Naznaczonym. Kolejny prochowy mag.

– Jest sporo ciał do przeniesienia – stwierdził.

Tamas zerknął na podwładnego.

– Wiem, Sabonie.

– Kto to jest? – zapytał Sabon.

– Inspektor, którego chciał Cenka.



– Nie podoba mi się, że on tutaj jest. To może wszystko popsuć.

– Cenka mu ufał.

– Dokonał pan zamachu stanu – powtórzył Adamat teraz już z pewnością.

– Zaraz pomogę z ciałami – obiecał Tamas. – Jestem już stary, czasem muszę odpocząć.

Delivijczyk skłonił się krótko i odszedł.

– Sir! Co tu się stało?! – Adamat chwycił mocniej łaskę z ukrytym ostrzem.

Marszałek skrzywił się lekko.

– Mówiono, że adrańscy rojaliści mieli najpotężniejszych magów w całych Dziewięciu Narodach, ustępujących tylko tym z Kezu – powiedział cicho. – Mimo to zaabiłem wszystkich, co do jednego. Sądzi pan, że miałbym problem ze starym detektywem i jego ostrzem ukrytym w lasce?

Adamat zwolnił uchwyt. Poczul mdłości.

– Zakładam, że nie.

– Cenka przekonywał mnie, że jest pan pragmatykiem. Jeżeli tak jest rzeczywiście, chętnie skorzystam z pańskich usług. Jeżeli nie, teraz pana zabiję i poszukam odpowiedzi gdzie indziej.

– Dokonał pan zamachu stanu – powtórzył Adamat. Tamas westchnął.

– Czy musimy ciągle do tego wracać? Czy to takie szokujące? Jak pan myśli, ile jest w samym Adro frakcji mających powody, by usunąć króla? Założę się, że od ręki wymieni pan nie mniej niż dwanaście.

– Nie sądziłem, aby którakolwiek z nich miała takie możliwości – odparł Adamat. – Albo miała tyle odwagi.

Jego wzrok powędrował znów do strużki krwi na schodach, a myśli ku żonie i dzieciom, śpiącym w domu.

Popatrzył na marszałka. Zmierzwione włosy, krople krwi na mundurze. Całkiem sporo. Tamas mógł zostać nią obryzany. Ciemne cienie pod oczami świadczyły o czymś więcej niż tylko wieku. *Ten człowiek dokonał zamachu stanu. Jakie plany ma wobec mnie? Jakie plany ma wobec Adro?*

– Nie przyjmę żadnego zlecenia w ciemno – powiedział Adamat. – Proszę mi powiedzieć, czego pan chce.

– Zabiliśmy ich we śnie – oznajmił Tamas bez żadnych wstępów. – Nie jest to łatwy sposób zabicia Uprzywilejowanego, ale najlepszy. Popełniono jednak błąd i musieliśmy walczyć. – Przez oblicze Tamasa przemknął ból i Adamat zaczął podejrzewać, że nie wszystko poszło po myśli dowódcy. – Udało się nam. Jednak ginący ciągle wypowiadali jedno zdanie.

Adamat czekał.

– „Nie możesz złamać Obietnicy Kresimira” – powiedział Tamas. – Tak właśnie mówili ci umierający czarownicy. Czy według pana to coś oznacza?

Adamat wygładził przód surduta, przywołując wspomnienia.

– Nie. Obietnica Kresimira... Złamać... Złamana... Chwileczkę. Złamana Obietnica Kresimira. Uniósł wzrok. – Tak się kiedyś nazywał pewien uliczny gang. Dwadzieścia... dwadzieścia dwa lata temu. Cienka tego nie pamięta?

– Mówił, że coś mu się kojarzy. Twierdził, że pan na pewno będzie pamiętał.

– Niczego nie zapominam – poinformował go Adamat. – Złamana Obietnica Kresimira to uliczny gang, liczący czterdziestu trzech członków. Wszyscy młodzi, niektórzy byli prawie dziećmi, najstarszy nie miał dwudziestki. Próbowaliśmy zgarnąć przywódców i ukrocić

falę kradzieży. Dziwna to była banda. Włamywali się do kościołów i okradali księży.

– Co się z nimi stało?

Adamat nie był w stanie się powstrzymać i ponownie spojrzął na krew na stopniach.

– Pewnego dnia zniknęli, wszyscy co do jednego, łącznie z czwórką naszych informatorów. Kilka dni później znaleźliśmy ich. Czterdzieści trzy ciała upchnięte w kanale ściekowym jak peklowane świńskie nóżki. Zostali zmasakrowani wyjątkowo brutalnym czarem. Typowy sposób działania kamaryli. I na tym zakończyło się śledztwo.

Adamat z trudem powstrzymał wzdrygnięcie. Raz w życiu widział coś takiego. Widywał egzekucje, zamieszki, sceny zbrodni, ale nic przedtem ani później nie wzbudziło w nim takiego przerażenia.

Na szczycie schodów znowu pojawił się Delivijczyk.

– Jesteś potrzebny – zwrócił się do Tamasa.

– Niech pan się dowie, dlaczego magowie wymawiali te słowa wraz z ostatnim tchnieniem – powiedział Tamas do Adamata. – Może to jest powiązane z tym gangiem, a może nie. Tak czy owak niech pan znajdzie odpowiedź. Nie znoszę zagadek umarłaków. – Wstał szybko, jak gdyby ubyło mu dwadzieścia lat, i pobiegł schodami w ślad za Delivijczykiem. Mokre od krwi żelówki zostawiały na stopniach czerwone ślady. – Jeszcze coś – zawołał przez ramię. – Proszę milczeć o tym, co pan tutaj widział, aż do egzekucji. Zacznie się w południe.

– Ale – zawołał za nim Adamat – od czego mam zacząć? Mogę porozmawiać z Cenką?

Tamas zatrzymał się nieopodal szczytu schodów i odwrócił.

– Jeśli pan potrafi rozmawiać z umarłymi, to proszę bardzo.

Adamat zacisnął szczęki.

– Jak wymawiali te słowa? Jakim tonem? Rozkazującym? Oznajmującym?

Marszałek zmarszczył brwi.

– Błagalnym. Jakby coś było dla nich ważniejsze niż krew płynąca z ran. Teraz muszę iść.

– Jeszcze jedno.

Marszałek zdawał się tracić cierpliwość.

– Jeśli mam panu pomóc, to proszę mi powiedzieć, po co to wszystko?

Wskazał krew na schodach.

– Są sprawy, które wymagają mojej obecności – ostrzegł Tamas.

Adamat ponownie zacisnął szczęki, aż na policzkach wystąpiły mu guzy.

– Zrobił to pan dla władzy?

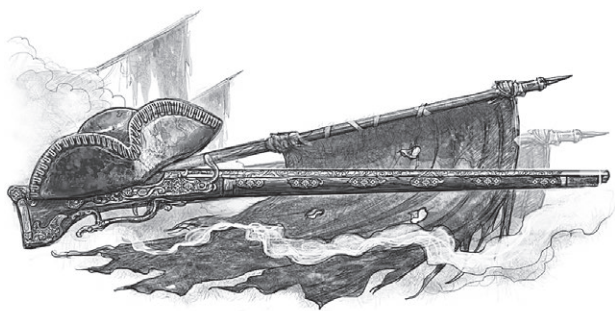
– Zrobiłem to dla siebie – odparł Tamas. – I dla Adro. Żeby Manhouch nie mógł Ugodami oddać nas w niewolę Kezu. Zrobiłem to, bo ci sarkający studenci tylko bawią się w rebelię. Adamacie, epoka królów dokonała swego żywota i to ja ją zabiłem.

Adamat uważnie przyjrzał się twarzy Tamasa. Ugody były traktatem, który zamierzano podpisać z królem Kezu, w zamian za umorzenie wszystkich adrańskich długów. Nakładały jednak na kraj surowe podatki i regulacje, czyniące go w zasadzie wasalem Kezu. Marszałek polny bez ogródek je krytykował. Z drugiej strony, wszyscy się tego po nim spodziewali, przecież w Kezie stracono jego żonę.

– W rzeczy samej – przyznał mu rację Adamat.

– W takim razie niech mi pan znajdzie te przekłete odpowiedzi. – Tamas odwrócił się na pięcie i zniknął w korytarzu u góry schodów.

Adamat przypomniał sobie ciała członków gangu, wyciągane z kanału na błotnistą ziemię, przypomniał też sobie grozę na ich martwych twarzach. *Te odpowiedzi rzeczywiście mogą być przekłete.*



## 2

### ROZDZIAŁ

Lajos umiera – oznajmił Sabon.

Tamas wszedł do apartamentów Uprzywilejowanego, Odźwiernego Zakary'ego. Szybko przeszedł przez salon i znalazł się w alkowie – komnacie większej od niejednego kupieckiego domu. Ściany barwy indygo obwieszane były malowidłami, przedstawiającymi dawnych Odźwiernych adrańskiej kamaryli. Drzwi prowadziły stąd do innych pomieszczeń, wychodka, kuchni i osobistego burdelu Odźwiernego. Te ostatnie zostały wyrwane z zawiasów, a pomieszczenie zasłane było drzazgami, nie większymi niż palec.

Z łóża Zakary'ego zdarto pościel, ciało zepchnięto, aby zrobić miejsce dla rannego prochowego maga.

– Jak się czujesz? – zapytał Tamas.

Lajos zdołał tylko cicho zakasać. Naznaczeni byli wytrzymalsi od większości ludzi, a proch strzelniczy, który teraz krążył w żyłach rannego, sprawiał, że ten nie czuł już bólu. Niewielkie pocieszenie, bo połowy

Lajosowego ramienia nie było, a w brzuchu ziała dziura wielkości melona. Cud, że mag jeszcze oddychał. Dali mu pół rożka prochu. Już to tylko powinno go zabić.

– Bywało lepiej. – Lajos kaszlnął ponownie, z kącika ust popłynęła mu krew.

Tamas wyjął chusteczkę i starł szkarłatne krople.

– To nie potrwa długo – powiedział.

– Wiem.

Marszałek ścisnął przyjacielowi dłoń.

– Dziękuję – odpowiedział Lajos samym ruchem warg.

Tamas odetchnął głęboko. Nagle wzrok mu się zamglił. Marszałek zamrugał, póki znów nie zaczął widzieć wyraźnie. Oddech rannego zmienił się w rżenie. Marszałek już miał puścić dłoń konającego, gdy nagle Lajos ścisnął mu palce. Otworzył oczy.

– Wszystko w porządku, przyjacielu – powiedział. – Zrobiłeś to, co należało. Bądź spokojny. – Spojrzenie uciekło mu w bok, a potem zastygł bez ruchu. Nie żył.

Tamas zamknął zmarłemu oczy, następnie odwrócił się do Sabona. Delivjczyk stał po drugiej stronie komnaty, przypatrując się resztkom drzwi haremu, wiszącym na jednym zawiasie. Marszałek podszedł tam, zajrzał do środka. Żołnierze już godzinę temu przegnali kobiety, zabierając je do innych części pałacu wraz z resztą dziwek Uprzywilejowanych.

– Furia niewiasty – mruknął Sabon.

– W rzeczy samej – zgodził się Tamas.

– Nijak nie zdołalibyśmy tego przewidzieć.

– Im to powiedz. – Marszałek ruchem głowy wskazał cztery ciała, ułożone w rzędzie pod ścianą, a także piąte, które zaraz miało do nich dołączyć. Pięciu prochowych magów. Pięciu przyjaciół. Wszystko przez jedną Uprzy-

wilejowaną, której nie uwzględnili w swoich planach. Tamas właśnie wpakował kulkę w łeb Odźwiernemu, człowiekowi, któremu zwykle ścisnął dłoń. Naznaczeni towarzyszyli mu jedynie na wszelki wypadek, gdyby w starcu tliła się jeszcze wola walki. Nie spodziewali się jeszcze jednej Uprzywilejowanej, ukrytej w burdelu. Przeszła przez drzwi niczym brzytwa gilotyny przez melon. Na dłoniach miała rękawice Uprzywilejowanych, jej palce tańczyły, a płynąca z nich magia rozdzierała ludzi Tamasa na strzępy. Prochowy mag mógł bezbłędnie trafić w cel oddalony o mile. Mógł samą myślą prowadzić kulę po najbardziej zawilej trasie i spożywać czarny proch, aby stać się silniejszym i szybszym od zwykłych ludzi. Niewiele to jednak było warte przeciwko czarom Uprzywilejowanego, rzuconym z niewielkiego dystansu.

Tamas, Sabon i Lajos jako jedyni mieli czas zareagować, a i tak ledwie zdołali odeprzeć jej wściekły atak. Umknęła, a echo niszczycielskich czarów podążało jej śladem przez korytarze pałacu. Zapewne miały na celu zniechęcenie ewentualnego pościgu. Jej ostatni strzał okazał się śmiertelny dla Lajosa, uderzyła jednak na oślep. Równie dobrze Sabon albo nawet sam Tamas mogli umrzeć na łóżku Odźwiernego. Ta myśl zmroziła marszałkowi krew w żyłach.

Oderwał spojrzenie od drzwi.

– Trzeba za nią iść. Znaleźć ją i zabić. Na wolności jest niebezpieczna.

– To zadanie dla pogromcy magów – stwierdził Sabon. – Zastanawiałem się właśnie, dlaczego trzymasz go przy sobie.

– Rozwiązanie, do którego nie chciałem się uciekać – przyznał Tamas. – Żałuję, że nie mam maga, którego mógłbym z nim posłać.



– Jego towarzyszka jest Uprzywilejowaną – odparł Sabon. – Pogromca i Uprzywilejowana powinni stanąć twarde orzechy do zgryzienia dla samotnej Uprzywilejowanej z kamaryli.

Wskazał zniszczone drzwi.

– Jeśli chodzi o kamarylę, to nie lubię walczyć fair – odparł Tamas. – I pamiętaj, że jest pewna różnica między członkiem królewskiej kamaryli a wynajętym zbirrem.

– Kim w ogóle była ta kobieta? – zapytał Sabon. Zdało się, że w jego głosie zabrzmiał wyrzut.

– Nie mam pojęcia – warknął Tamas. – Znam wszystkich członków kamaryli. Spotykałem się z nimi, jadałem z nimi. Ona była obca.

Delivjczyk pozostawił gniewne słowa marszałka bez komentarza.

– Jakiś szpieg?

– Raczej nie. Dziewczyny z burdelu są dokładnie sprawdzane. Zresztą nie wyglądała na dziwkę. Była silna, ogorzała. Może kochanka Odźwiernego? Jeszcze jej nigdy nie widziałem.

– Może Odźwierny szkolił kogoś w tajemnicy?

– Nie wolno ukrywać terminatorów. Uprzywilejowani są zbyt podejrzliwi, aby na coś takiego pozwolić.

– I te podejrzenia często mają solidne podstawy – stwierdził Sabon. – Ona jednak nie znalazła się tam bez powodu.

– Wiem. Zajmiemy się nią w stosownym czasie.

– Gdyby byli tutaj jeszcze inni...

– Więcej naszych by zginęło – uciął Tamas. Jeszcze raz policzył ciała, jakby miał nadzieję, że tym razem będzie ich mniej. Pięciu. Pięciu spośród jego siedemnastu magów. – Dlatego właśnie podzieliliśmy się na dwie

grupy. – Odwrócił się od zabitych. – Są jakieś wiadomości od Taniela?

– Jest w mieście.

– Doskonale. Wyślę go razem z pogromcą.

– Jesteś pewien? Dopiero co wrócił z Fatrasty. Musi odpocząć, zobaczyć się z narzeczoną...

– Jest z nim Vlora?

Sabon wzruszył ramionami.

– Miejmy nadzieję, że się szybko zjawi. Jeszcze tutaj nie skończyliśmy. – Marszałek uniósł dłoń, aby uciszyć wszelkie protesty. – Taniel może sobie odpocząć, gdy przewrót stanie się faktem.

– Co ma być zrobione, będzie zrobione – powiedział cicho Sabon.

Potem obaj umilkli, myśląc o poległych towarzyszach. Po chwili Tamas dostrzegł uśmiech na pomarszczonej, ciemnej twarzy Sabona. Delivijczyk był zmęczony i wyglądał mizernie, ale się cieszył.

– Udało się nam.

Marszałek ponownie spojrzał na ciała swoich przyjaciół, podkomendnych.

– Tak – powiedział. – Udało. – Zmusił się, by odwrócić wzrok.

W kącie stało malowidło, bohomas w złożonych ramach, na srebrnym trójnogu, jak na Odźwiernego kamaryli przystało. Przedstawiało Zakary'ego w kwiecie wieku, silnego młodzieńca o szerokich barach i stanowczej minie.

Zakary na portrecie bardzo różnił się od martwego starca skulonego w kącie. Kula trafiła go w głowę, zabijając na miejscu, ale z martwego gardła wydobyło się chrapliwe: „Nie możesz złamać Obietnicy Kresimira”.

Cenka zrobił się biały jak prześcieradło, gdy pierwszy z Uprzywilejowanych wykrzyczał te słowa. Zażądał, by marszałek sprowadził Adamata, tutaj, w samo serce ich zbrodni. Tamas miał nadzieję, że podwładny się mylił. Miał nadzieję, że detektyw niczego nie znajdzie.

Wyszli ze skrzydła zajmowanego przez kamarylę, Tamas przodem, Sabon tuż za nim.

– Potrzebuję nowego ordynansa – oznajmił marszałek po drodze. Te słowa sprawiły mu ból, w końcu ciało Lajosa jeszcze nawet nie ostygło.

– Naznaczonego? – zapytał Sabon.

– Nie możemy poświęcić żadnego. Nie teraz.

– Mam kogoś na oku – odparł Sabon. – Nazywa się Olem.

– Żołnierz? – upewnił się Tamas. Wydawało mu się, że skądś zna to imię. Podniósł rękę, zatrzymując ją tuż pod poziomem oczu. – Takiego wzrostu? Płowe włosy?

– Tak.

– Jaką ma Zdolność?

– Nie musi spać. W ogóle.

– Przydatne – ocenił marszałek.

– Właśnie. Ma też całkiem niezłe trzecie oko, więc może ostrzegać przed Uprzywilejowanymi. Do czasu egzekucji zostanie we wszystko wprowadzony i będziesz go miał u swego boku.

Zdolny nie mógł się równać z prochowym magiem. Ale Zdolni trafiali się znacznie częściej. Ich umiejętności były w zasadzie talentem, a nie mocą magiczną. Ale skoro ten umiał korzystać z trzeciego oka, nadawał się do tej roboty.

Tamas podszedł do okratowanych drzwi kaplicy. Z ciemności przy murze wyłoniło się dwóch żołnierzy

z muszkietami gotowymi do strzału. Tamas skinął im głową, wskazał drzwi.

Jeden z wojaków dobył zza pasa długi sztylet i wsunął ostrze pomiędzy skrzydła.

– Zamknął na zasuwę – wyjaśnił, manipulując nożem. – Ale nawet nie zadał sobie trudu, żeby czymś zabarykadować drzwi. Niezbyt się wysilił, gdyby ktoś mnie pytał o zdanie.

Udało mu się pokonać zamek i wspólnie z towarzyszami pchnęli skrzydła.

Kaplica była ogromna, podobnie jak wszystkie pomieszczenia pałacu. Jednak w przeciwieństwie do pozostałych komnat uniknęła ciągłego odnawiania przy okazji królewskich kaprysów i najpewniej wyglądała tak jak przed dwustu laty. Sufit zdawał się równie odległy co i niebiosa, a w połowie wysokości ścian, między kolumnami, umieszczono łoże rodziny królewskiej i możnowładców, tak przestronne, że można by było w nich wóz drabiniasty ustawić w poprzek. Marmurowe kafelki, którymi wyłożono posadzkę, tworzyły zawile mozaiki rozmaitych kształtów i rozmiarów, zaś sufit zdobiły malowidła przedstawiające postaci świętych, którzy pod ojcowskim okiem Kresimira opiekują się Dziewięcioma Narodami.

W prezbiterium, na niewielkim podwyższeniu stały dwa ołtarze, a obok nich hebanowa kazalnica. Pierwszy ołtarz, mniejszy i bliższy wiernym, poświęcono Adomowi, świętemu założycielowi Adro. Drugi, większy, obmurowany marmurem i przykryty satyną, wzniesiono ku czci Kresimira. I właśnie obok tego ołtarza kulił się teraz Manhouch XII, władca Adro, wraz z żoną Nataliją, księżną Taronii. Natalija spoglądała ponad ołtarzem, a jej usta poruszały się w cichej modlitwie. Manhouch był błądy,

oczy miał zaczerwienione, usta zaciśnięte w cienką linię. Szeptał coś rozpaczliwie do biskupa. Zamilkł, gdy Tamas zbliżył się do nich.

– Stój – zawołał biskup do króla, który już zbiegał po schodach podestu, na spotkanie Tamasowi. Na starej twarzy ordynariusza widniało napięcie.

Marszałek patrzył, jak Manhouch zmierza w jego stronę z dłonią schowaną za plecami. Widział burze emocji szalejących na młodej, arystokratycznej twarzy. Dzięki potężnym magom kamaryli Manhouch, mężczyzna dobrze już po trzydziestce, wyglądał jak siedemnastoletni gołowąs. Ów wygląd miał być dowodem na ponadczasowy charakter monarchii, jednak Tamasowi zawsze trudno było brać na poważnie kogoś o aparycji nastolatka. Marszałek zatrzymał się i uważnie spoglądał na króla, który zwolnił, czyniąc ostatnich kilka kroków. Dzieliło go od Tamasa zaledwie pięć, gdy wy dobył zza pleców pistolet. Uczynił to płynnym ruchem, z takiej odległości nie mógł przecież chybić – zresztą to właśnie Tamas uczył go strzelać. Jednak sam czyn stanowił odzwierciedlenie faktu, jak dalece władca był oderwany od rzeczywistości. Monarcha pociągnął za spust.

Tamas sięgnął ku broni umysłem i wchłonął moc płonącego prochu. Czuł, jak energia zaczyna krążyć mu w żyłach, rozgrzewając niczym kieliszek dobrej wódki. Przekierował siłę uderzenia na posadzkę, roztrzaskując płytki pod nogami króla. Manhouch odskoczył. Kula wypadła smętnie z lufy, potoczyła się po posadzce i zatrzymała u stóp marszałka.

Tamas zrobił krok do przodu, chwycił broń za lufę i wyjął królowi z dłoni. Zaledwie fragmentem świadomości zarejestrował oparzenie.

– Jak śmiesz. – Pod warstwą pudru wykwił rumieniec gniewu. – Powierzyliśmy wam swoje bezpieczeństwo. – Drżał lekko.

Tamas spojrział ponad Manhouchem, na biskupa, wciąż trwającego przy ołtarzu. Stary kapłan opierał się o ścianę, wysoka, haftowana tiara przechyliła mu się na bok.

– Zakładam – Tamas potrząsnął pistoletem – że dostał to od ciebie?

– Nie w takim celu – zaświszczał starzec. Zadarł podbródek. – To miało być dla króla. Żeby mógł honorowo odebrać sobie życie, a nie zginąć z rąk bezbożnego zdrajcy.

Tamas sięgnął zmysłami w poszukiwaniu innych ładunków prochowych, ale żadnego nie znalazł.

– Przyniosłeś tylko jeden pistolet, z jedną kulą – stwierdził. – Grzeczność wymagałaby, byś dał im dwie. – Zerknął na modlącą się królową.

– Nie ważyłbyś... – zaczął biskup.

– Nie zrobi tego! – przerwał mu król. – Nie zabije nas. Nie może. Jesteśmy bożymi wybrańcami. – Drżąc, zaczerpnął głęboko powietrza.

Tamas poczuł drgnienie litości. Wiedział, że Manhouch jest starszy, niż na to wygląda, jednak w rzeczywistości był niczym dziecko. Nie tylko ze swojej winy. Chciwi doradcy, zidiociali nauczyciele, pobłażliwi czarodzieje. Istniało wiele powodów, dlaczego był tak złym – nie, fatalnym – królem. Ale tak czy owak, był królem. Marszałek zdławił współczucie. Manhouch musi ponieść konsekwencje.

– Manhouchu Dwunasty – zaczął marszałek – jesteś aresztowany za całkowite zaniedbanie spraw swojego ludu. Będziesz osądzony za zdradę, sprzeniewierzenie majątku oraz morderstwo poprzez zagłodzenie.

– Sąd – wyszeptał Manhouch.

– Sąd nad tobą już się rozpoczął – oznajmił Tamas. – Jestem twoim sędzią i ławą przysięgłych. Zostałeś uznany za winnego wobec ludu i wobec Kresimira.

– Nie udawaj, że przemawiasz w bożym imieniu! – oburzył się kapłan. – Manhouch jest naszym królem! Uświęconym wołą Kresimira!

Tamas roześmiał się ponuro.

– Szybko wzywaj Kresimira na świadka, gdy ci to odpowiada. Czy to Jego imię masz na ustach, tarzając się w jedwabiach z nałożnicą albo gdy obżerasz się delikatesami, za które mogłoby się pożywić pół setki chłopów? Biskupie, twe miejsce nie jest po bożej prawicy. Kościół już pobłogosławił ten zamach stanu.

Ordynariusz szeroko otworzył oczy.

– Wiedziałbym.

– A czy arcybiskupi mówią ci o wszystkim? Nie sądzę.

Manhouch zebrał się na odwagę i spojrzał Tamaso wi w oczy.

– Nie masz żadnych dowodów! Żadnych świadków! To nie jest proces!

Tamas gwałtownie machnął ręką, wskazując świat za murami kaplicy.

– Tam są moje dowody! Ludzie nie mają pracy i głodują. Twoi magnaci chędożą dziwki i jeżdżą na polowania, napełniają talerze mięsem, a kielichy winem, zaś prosty człowiek kona z głodu w rynsztoku. Świadkowie? Planowałeś poprzez Ugody oddać cały kraj Kezowi. Uczyniłbyś nas wasalami obcej potęgi tylko po to, aby umorzono ci długi.

– Bezpodstawne oskarżenia, padające z ust zdrajcy – słabo bronił się Manhouch.

Tamas tylko potrząsnął głową.

– W południe zostaniesz stracony, razem ze swoimi doradcami, królową i setkami krewnych.

– Kamaryla cię zniszczy.

– Oni już zostali straceni.

Król pobladł jeszcze bardziej. Dygotał na całym ciele i osunął się na podłogę. Biskup oderwał się od ściany i uczynił kilka kroków. Tamas przez chwilę spoglądał na Manhoucha, pamięć nieproszona podsunęła mu wspomnienie małego królewicza, sześć-, może siedmiolatka, którego marszałek kołysał na kolanach. Zdusił tę myśl.

Biskup dotarł do Manhoucha i przykucnął u jego boku.

– To przez twoją żonę? – Spojrzał w górę na Tamasa. *Tak.*

– Nie – odparł marszałek głośno. – To dlatego, że Manhouch udowodnił niezbicie, że życie całego narodu nie może zależeć od kaprysów jednego zdegenerowanego głupca.

– Zamierzasz pozbawić tronu władcę pobłogosławionego przez boga, stać się tyranem i nadal twierdzisz, że kochasz Adro? – zapytał kapłan.

Tamas zerknął na Manhoucha.

– Bóg już dawno się od niego odwrócił. Gdybyś nie był taki zaślepiony przez te swoje wyszywane złotem szaty i młode konkubiny, to również byś to zauważył. Manhouch zasługuje na otchłań za swoje zaniedbania względem Adro.

– Z pewnością się tam z nim spotkasz – zapewnił marszałka ordynariusz.

– Nie wątpię, biskupie. Jestem pewien, że w kompanii, jaką tam spotkam, nie będę się nudził. – Tamas upuścił nienabity pistolet u stóp Manhoucha. – Masz czas do południa, aby pojednać się z bogiem.





### 3

#### ROZDZIAŁ

Taniel zatrzymał się na szczycie schodów wiodących do Domu Szlachty. Rankiem o tej porze gmach był ciemny i cichy jak grobowiec. Żołnierze pełnili wartę na stopniach, na ulicy oraz przy wszystkich drzwiach. Natychmiast rozpoznał ciemnoniebieskie kurtki podkomendnych marszałka polnego Tamasa. Wielu znało Taniela z widzenia. A ci, którzy go wcześniej nie spotkali, widzieli teraz srebrną baryłkę prochu, wpiętą w klapę kurtki z kozłej skóry. Jeden z nich uniósł rękę w geście pozdrowienia. Taniel odwzajemnił się tym samym, po czym wyjął tabakierę i usypał na wierzchu dłoni kreskę czarnego prochu. Wciągnął ją nosem. Proch ożywił Taniela, przepelnił ciało energią. Wyostrzał umysł i myśli, przyspieszał bicie serca i dawał wytchnienie starganym nerwom. Dla Naznaczonych proch oznaczał życie.

Taniel poczuł klepnięcie w ramię, odwrócił się. Jego towarzyszka była niższa o głowę i smukła niczym podlotek. Nosila długi płaszcz, który spowijał ją całą, a przy

tym ogrzewał, do tego szerokoskrzydły kapelusz kryjący większość twarzy. W powietrzu czuć było chłód wczesnej wiosny, zaś Ka-poel pochodziła ze znacznie cieplejszych stron.

Drobną, piegowatą dłonią wskazała budynek przed nimi pytającym gestem. Taniel uświadomił sobie, że przecież nigdy jeszcze nie widziała gmachu takiego jak Dom Szlachty. Centralny budynek adrańskiej administracji miał sześć kondygnacji, powierzchnię pola bitewnego i był wystarczająco obszerny, aby pomieścić biura wszystkich szlachciców wraz z ich służbą.

– Jesteśmy na miejscu. – W ciszy poranka głos Taniela zabrzmiał zaskakująco głośno. – To tu kazali nam przyjść jego żołnierze. Ale on nie ma tutaj swojego biura. Czyżby to się stało właśnie dzisiaj w nocy? Mogłem wybrać lepszy moment... – Ucichł.

Mówił coś jeszcze bezgłośnie, zdradzając w ten sposób swoje zdenerwowanie. Tamas się wścieknie, gdy usłyszy o Vlorze. Oczywiście to Taniel okaże się wszystkiemu winny. Spostrzegł, że nadal trzyma tabakierę. Ręce mu drżały. Usypał kolejną czarną kreskę, wciągnął proch, po czym odrzucił głowę do tyłu, a serce zabiło szybciej. Kontury pośród ciemności stały się ostrzejsze, dźwięki wyraźniejsze. Taniel odetchnął głębiej pokrzepiony prochowym transem. Uniósł dłoń ku światłu ulicznej lampy. Już nie drżała.

– Pole – odezwał się do dziewczyny – od dłuższego czasu nie widziałem Tamasa. To człowiek surowy dla wszystkich, poza nieliczną garstką najbliższych. Sabona. Lajosa. Są jego przyjaciółmi. Ja jestem tylko jednym z żołnierzy. – Spod szerokiego ronda spojrzwały na niego zielone oczy. – Zrozumiano? – zapytał.

Ka-poel krótko skinęła głową.

– Patrz – powiedział. Wyjął szkicownik zza pazuchy. Był to kajet mocno sfatygowany podróżami, podniszczony od częstego używania, oprawiony w wyblakłą cielecą skórę. Taniel przerzucił kilka kartek, znalazł podobiznę marszałka polnego i pokazał Ka-poel. Szkic zrobiony został węglem i zdążył się nieco rozmazać, lecz bez trudu można było rozpoznać surową twarz Tamasa. Ka-poel przez chwilę przyglądała się rysunkowi, potem oddała kajet.

Taniel pchnął skrzydło gigantycznych drzwi i wszedł do wielkiego holu. Panowała tam zupełna ciemność, wyjąwszy plamę jasnego światła nieopodal schodów z lewej strony, gdzie na ścianie wisiała pojedyncza latarnia, a pod nią, na krześle służącego, drzemała jakaś zmęczona postać.

– Widzę, że Tamas dochrapał się arystokratycznej siedziby.

Taniel słuchał echa własnego głosu i z satysfakcją ujrzał, jak Sabon podskakuje na krześle. Ciemna twarz Delivijczyka pokryta była wyraźną siatką zmarszczek. Taniel dostrzegał to jedynie za sprawą prochowego transu. Miał jednak wrażenie, że przez dwa lata, jakie minęły od ich ostatniego spotkania, Sabon postarzał się o całe dziesięć.

– Nie podoba mi się tu – dodał Taniel, zdejmując z ramienia karabin razem z plecakiem. Położył je na miękkim, czerwonym dywanie. Pochylił się, by rozmasować nogi zeszywniałe po dwudziestu godzinach w powozie. – Zbyt chłodno zimą, zbyt pusto latem. A taka przestrzeń aż prosi się o gości.

Sabon roześmiał się, podchodząc do młodzika. Uścisnął mu dłoń i przyciągnął ku sobie, by objąć.

– Jak tam Fatrasta?

– Oficjalnie? Nadal w stanie wojny z Kezem – odparł Taniel. – Nieoficjalnie, Kez zaproponował rozejm i pra-

wie wszystkie regimenty powróciły już do Dziewięciu. Patrasta zdobyła niepodległość.

– A zabiłeś dla mnie jednego czy dwóch Uprzywilejowanych z Kezu? – zapytał Sabon.

Taniel podniósł karabin, tak by broń znalazła się w płamie światła. Delivjczyk przesunął palcem po rzędzie nacięć na kolbie i zagwizdał z uznaniem.

– Nawet kilku Stróżów – pochwalił się młodzieniec.

– Ich to ciężko zabić – stwierdził Sabon.

Taniel przytaknął.

– Na Stróża nie wystarczy jedna kula.

– Taniel Dwa Strzały – powiedział Sabon. – Byłeś głównym tematem w Dziewięciu przez ostatni rok. Królowa kamaryla pochorowała się ze strachu. Chcieli, żeby Manhouch cię odwołał. Naznaczony zabijający Uprzywilejowanych, nawet Uprzywilejowanych z Kezu, to niedobry precedens.

– Jak sądzę, już za późno? – Taniel rozejrzał się po wielkim, ciemnym holu. Po prawdzie to w przeciwnym wypadku by go tutaj nie było. Jeśli wszystko poszło według planu, Tamas wyciął kamarylę do nogi oraz uwięził Manhoucha.

– Dokonało się przed kilkoma godzinami – potwierdził Sabon.

Taniel odniósł wrażenie, że spojrzenie starego żołnierza stwardniało.

– Sprawy nie potoczyły się jak trzeba?

– Straciliśmy pięciu ludzi. – Sabon szybko wymienił poległych.

– Niech spoczywają w Kresimirze – powiedział Taniel, ale nawet dla niego samego słowa te zabrzmiały wyjątkowo pusto. Skrzywił się. – A Tamas?

Sabon westchnął.

– Jest... zmęczony. Obalenie Manhoucha to dopiero pierwszy krok. Przed nami jeszcze egzekucja, powołanie nowego rządu, trzeba będzie policzyć się z Kezem, rozwiązać problem głodu, ubóstwa. Lista jest długa.

– Przewidział jakieś problemy ze strony ludności?

– Tamas przewidział prawie wszystko. Rojaliści się znajdują. Głupotą byłoby zakładać, że nie, w mieście, gdzie mieszka milion ludzi. Nie wiemy tylko, ilu i jak będą zorganizowani. Tamas cię potrzebuje. Ciebie i Vlo-ry. Nie przyszła z tobą?

Taniel zerknął w stronę Ka-poel. Była w holu jedyną osobą oprócz nich. Zostawiła rzeczy Taniela zwalone na stos i przewiesiwszy sobie plecak przez ramię, powoli obchodziła pomieszczenie, przyglądając się malowidłom, ledwie widocznym w słabym świetle.

Taniel zorientował się, że zaciska szczęki.

– Nie.

Sabon cofnął się o krok i głową wskazał Ka-poel.

– Sługa – wyjaśnił Taniel. – Z ludu Dynizyjczyków.

– Dzikus, co? – Sabon zastanowił się. – Imperium Dynizyjskie wreszcie otworzyło granice? To ci nowina.

– Nie – odparł Taniel. – Niektóre plemiona Dynizyjczyków mieszkają w zachodniej Fatraście.

– Toż to chłopiec zaledwie.

– Uważaj, kogo nazywasz chłopcem – ostrzegł Taniel Delivjczyka. – Bywa drażliwa w tej kwestii.

– Znaczy dziewczyna. – Sabon rzucił Tanielowi ironiczne spojrzenie. – Można jej ufać?

– Uratowałem jej życie więcej razy niż ona mi – powiedział Taniel. – Dzicy traktują takie sprawy bardzo poważnie.

– Nie tacy znowu dzicy – mruknął Sabon. – Tamas będzie chciał wiedzieć, dlaczego nie ma z tobą Vlory.

– Nie kłopotz się o to.

Tamas zapytał o Vlorę, zanim jeszcze zapytał o Fatrastę. Głupotą byłoby oczekiwać, że zmienił się przez te dwa lata, jakie minęły od ich ostatniego spotkania. Dwa lata. A niech to otchłań. Aż tak długo? Przed dwoma laty Taniel szykował się do wyjazdu, który miał być jedynie krótkim wypadem do Fatrasty, kezańskiej kolonii. „Dla ostudzenia emocji” – jak to określał Tamas. Taniel dotarł do celu na tydzień przed tym, jak Fatrasta ogłosiła swą niepodległość, i zmuszony był opowiedzieć się po jednej ze stron.

Sabon skwitował słowa młodego Naznaczonego krótkim skinieniem głowy.

– W takim razie zaprowadzę was do niego.

Zdjął lampę z haka, podczas gdy Taniel zebrał swoje rzeczy. Ruszyli ciemnymi korytarzami, Ka-poel podążyła za nimi w pewnej odległości. Dom Szlachty był ogromny, sprawiał niesamowite wrażenie. Grube dywany tłumyły odgłos kroków, stąpali więc bezszelestnie niczym duchy. Tanielowi nie podobała się taka cisza, za bardzo kojarzyła się z lasem, gdzie czają się wrogowie. Gdy skręcili za róg, zobaczył światło dochodzące z pomieszczenia na drugim krańcu korytarza. Usłyszał również głosy, podniesione i pełne złości.

Taniel zatrzymał się w progu dobrze oświetlonego salonu, który stanowił przedsiónek jakiegoś szlacheckiego biura. Dwóch mężczyzn, zwróconych do siebie twarzami, stało przy ogromnym kominku. Dzielili ich nie więcej jak stopa, dłonie mieli zaciśnięte, jakby w każdej chwili gotowi byli ruszyć do walki. Trzeci mężczyzna,

na pierwszy rzut oka straż osobista, o charakterystycznych, zniekształconych rysach boksera, przypatrywał się wszystkiemu z zakłopotaniem, zastanawiając się, czy powinien interweniować.

– Wiedziałeś! – krzyczał niższy z mężczyzn. Twarz miał czerwoną, stawał na czubkach palców, aby dorównać drugiemu wzrostem. Raz po raz poprawiał ześlizgujące się z nosa okulary. – Powiedz prawdę, czy ty to wszystko tak sobie zaplanowałeś? Wiedziałeś, że trzeba będzie zmienić harmonogram?

Marszałek polny Tamas uniósł otwarte dłonie.

– Oczywiście, że nie wiedziałem – zaprotestował. – Zamierzam wyjaśnić to wszystko rano.

– Podczas egzekucji! Co to za zamach... – Rozmówca marszałka zauważył Taniela i urwał. – Wynocha – rozkazał. – To rozmowa prywatna.

Taniel zdjął kapelusz i oparł się o framugę drzwi, wachlując się od niechcenia.

– A zaczynało się robić ciekawie – stwierdził.

– Co to za chłopak? – niewysoki mężczyzna zwrócił się nagle do Tamasa.

Chłopak? Taniel zerknął na dowódcę, wiedział, że tamten nie mógł spodziewać się swego podkomendego akurat tego wieczora, a jednak nie okazał zaskoczenia. Tamas zawsze umiał zachować kamienną twarz. Bywało, że Taniel zastanawiał się, czy marszałek w ogóle zdolny jest odczuwać emocje.

– Tanielu, dobrze cię widzieć.

Czyżby? Tamas zdecydowanie nie wyglądał na zadowolonego. Przez ostatnie dwa lata przeredziły mu się włosy, a wąsy były bardziej siwe niż czarne. Marszałek się starzał. Taniel powoli skłonił głowę.

– Proszę o wybaczenie – Tamas odezwał się po krótkiej przerwie. – Tanielu, oto podskarbi Ondraus. Ondrausie, oto Naznaczony Taniel, jeden z moich magów.

– Chłopiec nie ma tu czego szukać. – Ondraus dostrzegł teraz Ka-poel stojącą za plecami Taniela. Zmrużył powieki. – Dzikus też nie – dodał. – Znów przymknął oczy, jak gdyby nie dowierzając temu, co ujrzał za pierwszym razem. Mruknął coś niezrozumiale.

Taniel nie mógł nie zwrócić uwagi, że został przedstawiony jako prochowy mag. Czy tylko tym był dla marszałka? Tylko kolejnym żołnierzem?

Tamas otworzył usta, jednak Taniel odezwał się pierwszy.

– Panie – zwrócił się do podskarbiego – jestem kapitanem armii Fatrasty, Naznaczonym w służbie Adro i wiem wszystko o tym zamachu stanu. Potrafię z odległości mili jednym strzałem położyć dwóch Uprzywilejowanych i robiłem tak już kilka razy. Trudno mnie uważać za chłopca.

Ondraus parsknął.

– A tak, Tamasię, to przecież ten twój słynny syn.

Taniel przesunął czubkiem języka po zębach i spoglądał na ojca. *Jestem nim, prawda? Ondrausie, dobrze, że mu przypomniałeś. Łatwo o tym zapomina.*

– Taniel ma prawo tutaj przebywać – poparł go Tamas.

Ondraus przez chwilę przyglądał się Tanielowi. Powoli gasła złość malująca się na jego twarzy, zastąpiona przez wyraz chłodnej kalkulacji. Odetchnął głęboko.

– Chcę obietnic – zażądał, zwracając się do Tamasa. Teraz skupiony był już na interesach i emocje zniknęły z jego tonu, zastąpiła je nuta daleko bardziej niepokojąca niż wcześniejsza furia. – Pozostali będą równie wściekli,



ale jeśli przed egzekucją przekażesz w moje ręce królewskie rejestry, udzielę ci wsparcia.

– Cóż za uprzejmość – odparł Tamas sucho. – Przecież jesteś urzędnikiem królewskim. Masz już dostęp do królewskich rejestrów.

– Nie. Zarządzam kasą miasta – wyjaśnił Ondraus jak dziecku. – Chcę prywatnych ksiąg Manhoucha. Przez dziesięć lat wydawał na błyskotki tyle co ekskluzywna dziwka. Zamierzam zbilansować księgi.

– Uzgodniliśmy, że otworzymy jego szkatuły dla ubogich.

– Po zbilansowaniu ksiąg.

Tamas zastanawiał się przez chwilę.

– Załatwione. Masz czas do egzekucji. Do południa.

– Zgoda.

Ondraus przeszedł przez pokój, ciężko wspierając się na lasce. Gestem przywołał do siebie wielkoluda. Obaj przepchnęli się obok Taniela i zniknęli w ciemności korytarza, ich kroki odbijały się echem od marmurowej posadzki.

– Nie zaczękał nawet, aż pozwolisz mu odejść – zauważył Taniel.

– Dla Ondrausa świat to niewiele więcej jak liczby i arytmetyka. – Tamas lekceważąco machnął dłonią. Gestem zaprosił Taniela do komnaty i podszedł do niego. Podali sobie ręce. Taniel zająrzył ojcu w oczy, zastanawiając się, czy powinien go teraz uściskać, tak jak mogliby uczynić druhowie po długim rozstaniu. Tamas marszczył brwi, patrząc gdzieś na ścianę, wyraźnie myślami był gdzie indziej, więc Taniel porzucił swój pomysł.

– Gdzie jest Vlora? – zapytał marszałek, z ciekawością patrząc na Ka-poel. – Nie odwiedziłeś jej po drodze w Jilemanie?

– Pojechała drugim powozem – odparł Taniel. Starł się, aby jego głos brzmiał neutralnie. Pierwsze, o co zapytał Tamas. Oczywiście.

– Siadaj – zaprosił go ojciec. – Jest tak dużo spraw do omówienia. Zacznijmy od tego, kim ona jest.

Ka-poel ułożyła plecak i karabin Taniela w kącie, a teraz z zaciekawieniem przyglądała się pokojowi oraz zasłonom. Czas, jaki miała okazję spędzić w miastach Dziewięciu, upłynął jej w podróży, przesiadali się z Tanielem z jednego powozu do drugiego, śpiąc w drodze, by jak najprędzej dotrzeć do Adopestu.

– Ma na imię Ka-poel – przedstawił ją Taniel. – Jest Dynizyjką, z plemienia z zachodniej Fatrasty. Pole, zdejmij kapelusz – pouczył ją i uśmiechnął się do ojca przepraszająco. – Wciąż ją uczę adrańskich obyczajów. Ich zwyczaje bardzo różnią się od naszych.

– Imperium Dynizyjskie otworzyło granice? – spytał Tamas sceptycznym tonem.

– Wielu mieszkańców Dzikiej Fatrastańskiej ma krewnych wśród Dynizyjczyków, a dzięki przesmykowi łączącemu Imperium i Fatrastę nie martwią ich specjalnie zamknięte granice.

– A Imperium martwi fatrastańskich generałów?

– Czy martwi? Już na samą myśl dostają zgagi. Jednak nie wygląda na to, żeby wojna domowa w Imperium miała się ku końcowi. Jeszcze przez jakiś czas nie będą wyglądać poza swoje granice.

– A Kez? – dopytywał Tamas.

– Kiedy wyjeżdżałem, właśnie przymierzali się do zawarcia pokoju.

– Szkoda. Miałem nadzieję, że Fatrasta będzie ich zajmować jeszcze przez jakiś czas. – Tamas otaksował

syna uważnym spojrzeniem. – Widzę, że wciążnosisz strój pogranicza.

– A co w tym złego? Wydałem wszystkie pieniądze na podróż do domu. – Taniel obciągnął kurtkę z koźlej skóry. – To najlepsze ubranie na pograniczu, ciepłe, wytrzymałe. Już zapomniałem, jak cholernie zimno potrafi być w Adro. Cieszę się, że je mam.

– Rozumiem. – Tamas podszedł do Ka-poel i obejrzał ją od stóp do głów. Trzymała kapelusz oburącz, odważnie odwzajemniając spojrzenie marszałka. Włosy miała ognicie rude, zaś jasną skórę pokrywały blade piegi, co w Dziewięciu stanowiło osobliwość. Była niewysoka i drobna. Daleko jej było do wielkiego, dzikiego wojownika, jak w Dziewięciu wyobrażano sobie jej pobratymców.

– Fascynujące – stwierdził Tamas. – Jak na nią trafiłeś?

– Była zwiadowcą naszego regimentu – wyjaśnił Taniel. – Pomagała tropić kezańskich Uprzywilejowanych w Dzikiej Fatrastańskiej. Służyła u mnie jako obserwator i kilka razy ocaliłem jej życie. Od tamtej pory mnie nie opuszcza.

– Mówi po adrańsku?

– Jest niema. Jednak rozumie.

Tamas pochylił się do przodu i zajrzał Ka-poel w oczy. Obejrzał jej policzki i uszy, jak gdyby oceniał konia. Taniel niemalże spodziewał się, że marszałek zajrzy dziewczynie w zęby. Ka-poel chybaby go wtedy ugryzła. Bez mała na to liczył.

– Jest czarownikiem – poinformował ojca. – Kościanym Okiem. To dynizyjska wersja Uprzywilejowanych, chociaż z tego, co się orientuję, ich magia jest nieco inna od naszej.

– Dzicy czarownicy – powiedział Tamas. – Coś o nich słyszałem. Jest bardzo niska, ile ma lat?

– Czternaście – odparł Taniel. – Tak sędzę. To niewielki lud, ale na polu bitwy prawdziwe z nich demony. Nieźle też sobie radzą z bronią palną. Aha – dodał, jak gdyby nagle coś sobie przypomniał – chciałem ci coś pokazać.

Wskazał swój karabin. Ka-poel natychmiast odwiązała broń od plecaka Taniela. Uśmiechnął się szeroko i podał karabin ojcu.

– Czy to...? To ten, z którego oddałeś tamten strzał? – zapytał Tamas.

– Jasne.

Marszałek chwycił karabin za lufę, okręcił, przyglądając się uważnie.

– Strasznie długi. Dobrze wyważony, gwintowana lufa, zamek skałkowy z zakrytą panewką. Przepiękna robota.

– Spójrz na imię pod lufą.

– Hrusch. No niezgorzej.

– To nie tylko jego projekt – powiedział Taniel. – On sam wykonał tę broń. Spędziłem z nim miesiąc w Fa-traście. Pracował nad karabinem przez jakiś czas i dał mi w prezencie.

– Autentyczny? – Tamas spojrzał na syna rozszerzonymi oczami. – Jeszcze nie widziałem lepiej wykonanego karabinu. Kupiliśmy prawa do patentu Hruscha jakiś rok temu i produkujemy karabiny dla wojska, ale widziałem tylko jeden zrobiony przez niego własnoręcznie.

Zachwył ojca sprawił, że Taniel poczuł ciepło w piersi. Wreszcie coś nowego. Coś, z czego Tamas mógł być dumny.

– Kez też próbował kupić ten patent – poinformował Taniel ojca.

– Naprawdę? Mimo że prowadzą wojnę z Fatrastą?

– Oczywiście. Karabin Hruscha dał im nieźle w kość na pograniczu. Zawsze wypala, nawet w najgorszą pogodę. Hrusch nie sprzedałby im patentu nawet za skrzynię złota i hrabstwo. A kezańscy rusznikarze nie są w stanie skopiować jego prac.

– Nikt nie jest w stanie, chyba że się u niego szkolił. – Tamas raz jeszcze uważnie obejrzał broń, po czym zwrócił ją właścicielowi.

– Podoba ci się? – zapytał Taniel.

– Nadzwyczajny. – Zainteresowanie Tamasa wydało się nagle nikłe, sam marszałek zaś niemalże nieobecny.

Taniel się zawahał.

– W takim razie spodoba ci się i to. – Wyciągnął rękę w stronę Ka-poel.

Przyniosła mu drewnianą skrzynkę z polerowanego mahoniu, niewiele dłuższą niż przedramię dorosłego mężczyzny.

– Prezent – oznajmił Taniel.

Tamas położył pudełko na stole i uniósł pokrywkę.

– Nie do wiary – westchnął.

– Pistolety pojedynkowe z uchwytem w kształcie pętli – powiedział Taniel. – Wykonane przez najstarszego syna Hruscha, który jak mówią, jest nawet lepszym rusznikarzem niż ojciec. Skałkówki z osłoniętą panewką i zamkiem kołowym. Gładkolufowe, ale znacznie celniejsze od innych. – Na widok rozjaśnionej twarzy ojca Taniel znów poczuł ciepło w piersi.

Tamas uniósł jeden z pistoletów, przesunął palcami po oktagonalnej lufie. Blask lampy odbił się od wypolerowanej inkrustacji z kości słoniowej.

– Niewiarygodne. Mógłbym sprowokować jakąś znie wagę tylko po to, żeby ich użyć.

Taniel się zaśmiał. Tamas powiedział to tak, jakby rzeczywiście miał zamiar coś takiego zrobić.

– Są... cudowne – stwierdził marszałek.

Taniel dostrzegł jakiś błysk w ojcowskich oczach. Dumę? Wdzięczność? Nie, uznał, Tamas nie wie nawet, co to znaczy.

– Chciałbym, abyśmy mieli więcej czasu na rozmowę – powiedział Tamas.

– Zatem już do rzeczy? – No przecież. Nie ma czasu na pogawędkę. Nie ma czasu, żeby porozmawiać z dawno niewidzianym synem.

– Niestety. – Tamas albo nie zauważył sarkazmu, albo go zignorował. – Sabonie! – zawołał. Delivijczyk zjawił się w drzwiach. – Przyrowadź najemników – polecił marszałek i Sabon ponownie zniknął. – A teraz, gdzie jest Vlora? Potrzebujemy was obojga. Sabon mówi ci, jakie odnieśliśmy straty?

– Mówił. To smutne. Sądzę, że Vlora w końcu się pojawi. – Taniel wzruszył ramionami. – Właściwie to z nią nie rozmawiałem.

Tamas zmarszczył brwi.

– Sądziłem...

– Przyłapałem ją w łóżku z innym mężczyzną. – Taniel poczuł ukłucie satysfakcji na widok szoku, jaki odmalował się na twarzy ojca. Szok najpierw zmienił się we wściekłość, a potem w żal.

– Dlaczego? Kiedy? Od jak dawna? – wyrzucał z siebie marszałek, prawdziwie skonfundowany. Taniel zastanawiał się, kiedy i czy w ogóle widział ojca tak wytrąconego z równowagi.

Wsparł się na karabinie, powstrzymał pogardliwe parsknięcie. Dlaczego Tamas tak się przejmował? Przecież to nie chodziło o JEGO narzeczoną.

– Od kilku miesięcy, jeśli wierzyć plotkom. Mężczyź-  
nie zapłacono, żeby ją uwiódł. Syn jakiegoś szlachcica,  
zrobił to dla dreszczyku emocji i dla pieniędzy.

– Zapłacono? – Tamas zmrużył oczy.

– Intryga – wyjaśnił Taniel. – Płaska zemsta. Bez wąt-  
pienia uknuta przez jakiegoś bogatego szlachcica. – Nie  
zdążył się dowiedzieć, kto był za to odpowiedzialny, ale  
nie miał zbyt wielu wątpliwości. Szlachta nienawidziła  
Tamasa. Był niskiego urodzenia, a przy tym korzystał  
ze swego wpływu na króla, by uniemożliwić szlachci-  
com kupowanie patentów oficerskich. Awansowali tyl-  
ko ci, którzy na to zasłużyli. Takie postępowanie sta-  
ło w sprzeczności z tradycją, ale zarazem sprawiło, że  
armia adrańska była jedną z najlepszych w Dziewięciu.  
Szlachta za bardzo obawiała się Tamasa, by atakować go  
bezpośrednio, ale próbowała każdego innego sposobu,  
nawet poprzez syna.

Tamas zacisnął zęby, unosząc przy tym górną wargę  
w grymasie wściekłości.

– Tej nocy aresztowałem połowę szlachty. Razem ze  
swoim królem staną pod gilotyną. Dowiem się, kto to  
opłacił, a potem...

Taniel poczuł się nagle zmęczony. Lata walczył w nie  
swojej wojnie, potem miesiące ciężkiej podróży, a kiedy  
wreszcie wrócił do domu, czekały nań zdrada i przewrót.  
Jego gniew gdzieś się ulotnił. Usypał na grzbiecie dłoni  
kreskę czarnego prochu, wciągnął ją.

– Gilotyna wystarczy. Oszczędzaj swoich ludzi.

*Oszczędzaj swój gniew, chociaż Kresimir wie, że jest go  
w tobie aż nadto. Za to nie ma współczucia. Nie dla twego  
syna, który został zdradzony.*

Tamas potarł oczy.

– Powinienem kazać jej patrzeć.

– Może patrzeć, jak będzie chciała – powiedział Taniel. Zabrzmiało to jak warknięcie.

– Ślub?

– Pierścioneek przyszpiliłem do tego sukinsyna, z którym była w łóżku. Będą musieli go odcinać jego własną szpadą.

Sabon wszedł do pomieszczenia, a za nim jeszcze dwoje ludzi, na pierwszy rzut oka niezbyt godnych zaufania. Oboje ubrani jak ktoś, kto zwykł sypiać w siodle albo na ławie w oberży. Mężczyzna był wysoki i tyczkowaty, zakola sięgnęły mu już niemal tyłu głowy, choć nie mógł mieć więcej niż trzydzieści lat. Nosił pas zakrywający cały brzuch, cztery szpady i trzy pistolety, różnej wielkości i kształtu, i rękawice Uprzywilejowanego. Jednak nie białe z barwnymi runami, a granatowe, pokryte złotymi runami. Był więc pogromcą magów: Uprzywilejowanym, który zrezygnował z wrodzonej mocy, by móc wedle woli niwelować magię.

Towarzyszyła mu kobieta, na pierwszy rzut oka około czterdziestki. Na sobie miała kurtkę i spodnie do konnej jazdy. Byłaby wręcz piękna, gdyby nie stara blizna, biegnąca od kącika ust przez całą skroń. Kobieta także nosiła rękawice Uprzywilejowanego, które pozwalały dotykać Nieświata. Jej były białe, z krwistoczerwonymi runami. Taniel zastanawiał się, dlaczego nie należała do jakiejś kamaryli. Nawet nie otwierając trzeciego oka, czuł, że była dość silna.

Najemnicy, jak powiedział Tamas. Rzeczywiście na takich wyglądali. Uprzywilejowana i pogromca magów stanowili niebezpieczne połączenie. Zwykle polowali na Zdolnych, Naznaczonych albo Uprzywilejowanych. Taniel był ciekaw, jaki cel wyznaczy im teraz ojciec.



– Uprzywilejowana wymknęła się naszej obławie w pałacu – poinformował najemników Tamas. – Nie należy do królewskiej kamaryli, ale i tak jest potężna. Chcę, żeby wasza trójka... – zerknął na Ka-poel – wasza czwórka wytropiła ją i zabiła.

Tamas nawykł do wydawania rozkazów i prowadzenia odpraw, a Taniel uświadomił sobie, że jego powrót do domu nie był niczym więcej jak zdaniem raportu i otrzymaniem nowego przydziału. Łowy na Uprzywilejowaną. Zerknął na najemników. Wydawali się zawodowcami. W Fatraście musiał sobie radzić, mając o wiele mniej do dyspozycji. Uprzywilejowana, którą mieli ścigać, zabiła pięciu doświadczonych prochowych magów w czasie krótszym niż oddech. Była niebezpieczna, a Taniel nigdy jeszcze nie polował w mieście. Uznał, że takie wyzwanie będzie trzymało jego myśli z dala od... innych spraw.

Znowu uniósł pokrywę tabakiery i usypał na dłoni prochową kreskę, ignorując niezadowolone spojrzenie ojca.



Nila zatrzymała się na chwilę i zapatrzyła w płomień paleniska pod dużym żelaznym kotłem. Zatarła spierzchnięte dłonie i ogrzała nad ogniem. Woda wkrótce się zagotuje, a wtedy skończy pranie dla wszystkich mieszkańców rezydencji. Obok szafki leżał niewielki stos brudów, ale większość ubrań państwa i liberii służby już od zeszłego wieczora moczyła się w dużych kadziach pełnych ciepłej wody zmieszanej z ługowym mydłem. Teraz trzeba je było zagotować, wypłukać i roz-

wiesić, by wyschły. Wpierw jednak musiała wyprasować galowy mundur diuka. O dziesiątej miał spotkanie z królem. Do wyznaczonej godziny wciąż pozostało sporo czasu, lecz całe to płukanie, szorowanie oraz prasowanie należało skończyć, zanim zjawią się kucharze, by przygotować śniadanie.

Drzwi do pralni otworzyły się i w progu stanął pięcioletni chłopiec, przecierając zaspane oczy.

– Nie możesz spać, paniczku? – zapytała Nila.

– Nie – odparł. Jakob, jedyne dziecko diuka Eldaminse’a, był słabego zdrowia. Jasne włosy okalały bladej twarz o zapadłych policzkach. Chłopczyk był niewysoki, jak na swój wiek, jednak bystry i o wiele miłszy w obyciu, niż można by się spodziewać po synu diuka. Kiedy przyszedł na świat, Nila miała trzynaście lat i terminowała w pralni Eldaminse’ów. Gdy tylko opanował sztukę chodzenia, mały Jakob zapalał do Nili gorącą sympatią, ku niezadowoleniu matki oraz guwernantki.

– Usiądź tutaj – powiedziała Nila, układając przy ogniu czysty, suchy kocyk. – Ale tylko na chwilkę, potem masz wracać do łóżka, zanim Ganny się obudzi.

Usadowił się na kocyku i patrzył, jak dziewczyna rozgrzewa żelazka na palenisku i rozkłada ubrania jego ojca. Wkrótce powieki zaczęły mu opadać i ułożył się na boczku.

Nila przyciągnęła dużą balię do żelaznego kotła. Właśnie miała przelać do niej wrzątek, kiedy drzwi otworzyły się raz jeszcze.

– Nila! – Ganny stała w progu, opierając dłonie na biodrach. Miała dwadzieścia sześć lat i była nad wiek surowa. Świetnie nadawała się na guwernantkę dziedzica diuka. Włosy o kakaowej barwie zbierała w ciasny kok

z tyłu głowy. Nawet w koszuli nocnej wyglądała stosowniej niż Nila w swojej prostej sukience i z niesfornymi, kasztanowymi lokami.

Nilą przyłożyła palec do ust.

– Wiesz, że nie powinno go tutaj być – Ganny ściszyła głos.

– A co miałam mu powiedzieć? Zabronić?

– Oczywiście!

– Daj mu spokój. Wreszcie zasnął.

– Przeziębni się tutaj.

– Leży przy ogniu.

– Jeśli diuszesa go tutaj znajdzie, to wpadnie w furję! – Ganny pogroziła Nili palcem. – Nie będę cię broniła, jak cię wyrzuci na ulicę.

– A czy kiedykolwiek mnie broniłaś?

Ganny zacisnęła usta w wąską kreskę.

– Dzisiaj zaproponuję diusziesie, żeby cię zwolniła. Masz zły wpływ na Jakoba.

– Ja... – Nila spojrzała na śpiącego chłopca i zamknęła usta. Nie miała ani rodziny, ani koneksji. Diuszesa już teraz jej nie lubiła. Diuk Eldaminse miał w zwyczajku kłaść się ze służącymi, a ostatnio coraz częściej jej się przyglądał. Nila nie chciała jeszcze zwady z Ganny, nawet biorąc pod uwagę fakt, że tamta wykorzystywała swoją przewagę przy każdej okazji.

– Przepraszam, Ganny – powiedziała. – Zaraz zabiorę go z powrotem do łóżka. Czy masz jakieś ubrania, które mogę ci wyczyścić?

– Od razu lepiej – stwierdziła guwernantka. – A teraz...

Przerwało jej łomotanie do głównych wrót, wystarczająco głośne, żeby słyszeć je było nawet w kuchni, na tyłach rezydencji.

– Kto to może być o tak wczesnej porze? – Ganny owinęła się ciaśniej szlafrokiem i ruszyła w stronę holu. – Obudzą pana i panią.

Nila oparła dłonie na biodrach i spojrzała na Jakoba.

– Wpakowałeś mnie w kłopoty, paniczku.

Zatrzepotały unoszone powieki.

– Przepraszam.

Przyklękła przy nim.

– W porządku, a teraz idź spać. Zaniosę cię do łóżka.

Ledwie go podniosła, kiedy usłyszała wrzask dobiegający z przedniej części domu. Potem kolejne okrzyki i łomot stóp na schodach prowadzących do głównego holu. Usłyszała gniewne męskie głosy, a żaden z nich nie należał do nikogo ze służby.

– Co się dzieje? – zapytał Jakob.

Postawiła go na nogi, żeby nie poczuł, że trzęsą się jej ręce.

– Szybko. Do balii – nakazała.

Jakobowi zadrżała dolna warga.

– Dlaczego? Co się dzieje?

– Schowaj się!

Wspiął się do balii. Narzuciła na niego brudne rzeczy, usypując wysoki stos, a potem wybiegła na korytarz.

Prosto na jakiegoś żołnierza. Mężczyzna wepchnął ją z powrotem do kuchni. Zaraz za nim pojawiło się kolejnych dwóch, potem jeszcze jeden, trzymający Ganny za kark. Ten ostatni pchnął guwernantkę na podłogę. Jej oczy były pełne strachu zmieszanego z upokorzeniem.

– Te dwie wystarczą – stwierdził jeden. Miał na sobie granatowy mundur adrańskiej armii, z dwoma belkami na piersi i srebrnym medalem za służbę koronie za morskimi. Zaczął rozpinąć pas, powoli zbliżając się do Nili.

Dziewczyna chwyciła gorące żelazko z paleniska i rąbnęła żołnierza w twarz. Upadł przy akompaniamencie krzyków towarzyszy.

Ktoś złapał ją za ramiona, ktoś inny za nogi.

– Ostra sztuka – ocenił któryś.

– Będzie ślad – odezwał się inny.

– Co to ma wszystko znaczyć?! – Ganny wreszcie udało się stanąć na nogi. – Nie wiecie, czyj to dom?!

– Zamknij się. – Żołnierz, którego uderzyła Nila, wstał. Napuchła oparzelina zajęła pół jego twarzy. Pięścią uderzył Ganny w brzuch. – Zaraz weźmiemy się i za ciebie – obiecał, następnie odwrócił się w stronę Nili.

Dziewczyna szarpała się w uścisku dłoni zbyt silnych, by mogła im się wyrwać. Odwróciła się w stronę balii, mając nadzieję, że Jakob tego wszystkiego nie zobaczy, i zamknęła oczy w oczekiwaniu na cios.

– Heathlo! – usłyszała szczeknięcie.

Otworzyła oczy, gdy trzymające ją ręce nagle puściły.

– Żołnierzu, co wy, do otchłani, wyprawiacie?! – Człowiek, który zadał pytanie, nosił taki sam mundur jak pozostali, wyjąwszy złoty trójkąt przypięty do srebrnej kłapy. Miał płowe włosy i schludnie przystrzyżoną brodę. Z kącika ust zwisał mu papieros. Nila jeszcze nigdy nie widziała brodatego żołnierza.

– Tylko się trochę bawimy, panie sierżancie. – Heathlo posłał Nili złowrogie spojrzenie i odwrócił się w stronę przybysza.

– Bawicie? My się nie bawimy, żołnierzu. Jesteśmy w armii. Znacie rozkazy marszałka polnego.

– Ale, panie sierżancie...

Sierżant pochylił się i podniósł z podłogi żelazko. Spojrzał na nie, a potem na oparzenie na twarzy żołnierza.

– Chcecie, żebym wam zrobił jeszcze jedno takie z drugiej strony?

Spojrzenie Heathla stwardniało.

– Ta suka mnie uderzyła.

– Następnym razem jak zobaczę, że próbujesz zgwałcić obywatelkę Adro, to cię uderzę w jeszcze przyjemniejsze miejsce. – Sierżant wskazał Heathla papierosem. – To nie Gurla.

– Zamelduję o tym kapitanowi – parsknął Heathlo. Sierżant wzruszył ramionami.

– Heathlo – wtrącił się jeden z żołnierzy – nie prowokuj. Sierżancie, przepraszamy, on jest nowy na kompanii i w ogóle...

– Trzymajcie go w ryzach – polecił sierżant. – Może jest nowy, ale po was spodziewałbym się czegoś lepszego.

Pomógł Ganny wstać, a potem, zwrócony w stronę Nili, dotknął palcami czoła.

– Panienko, szukamy syna diuka Eldaminse’a.

Guwernantka spojrzała na Nilę. Pracznka widziała doskonale, że Ganny jest przerażona.

– Był z tobą – powiedziała.

Nilą zmusiła się, aby spojrzeć w niebieskie oczy sierżanta.

– Dopiero co zaniósłam go do łóżka.

– Idźcie – rozkazał żołnierzom. – Znaleźć go.

Natychmiast się oddalili, ale sierżant nadal stał i powoli rozglądał się po kuchni.

– Nie ma go w łóżku.

– Ma zwyczaj błąkać się po domu – tłumaczyła Nila. – Położyłam go właśnie do łóżka, ale jestem pewna, że wystraszył się hałasu. Co się dzieje?

To nie był przypadek. Ci żołnierze dokładnie wiedzieli, czyj to dom. Sierżant wspominał o marszałku pol-

nym. W Adro tylko jeden człowiek miał taki stopień: marszałek polny Tamas.

– Diuk Eldaminse i jego rodzina są aresztowani pod zarzutem zdrady – uświadomił ją sierżant.

Ganny zbladła, wydawało się, że zaraz zemdleje.

Nilą poczuła ucisk w dołku. Zdrada. Takie oskarżenie mogło rzutować na całą służbę. Nie było ucieczki. Kiedyś słyszała opowieść o jakimś arcydiuku, bliskim kuzynie Żelaznego Króla, który intrygował przeciwko koronie. Cała jego rodzina oraz wszyscy służący skończyli pod ostrzem gilotyny.

– Możecie odejść w każdej chwili – oznajmił sierżant. – Przyszliśmy tylko po diuka i jego rodzinę. – Marszcząc brwi, podszedł do balii. – Pewnie będziecie chcieli poszukać nowych pracodawców. Jednak, jeśli możecie, powinniście opuścić miasto na przynajmniej kilka dni.

Wetknął papierosa między wargi i podniósł z balii parę spodni.

– Olem! – rozległo się od progu.

Sierżant odwrócił głowę w stronę wchodzącego żołnierza.

– Znalazłeś chłopca? – zapytał, zapominając o balii.

– Nie, ale przyszło wezwanie dla ciebie. Od marszałka polnego.

– Dla mnie? – zdziwił się Olem.

– Masz się natychmiast zameldować u komendanta Sabona.

– W porządku. – Olem zgasił papierosa na kuchennym stole. – Miej oko na Heathla. Nie pozwól mu się szarpać z żadną z kobiet. Jeśli będziesz musiał pozwolić chłopakom napchać kieszenie, żeby ich zająć, zrób to.

– Ale rozkazy...

– Prędzej czy później pokusi ich, żeby złamać któryś rozkaz. Wolałbym, żeby łamali takie, przez które nie zawisną na szubienicy.

– Słusznie.

Olem po raz ostatni rozejrzał się po kuchni.

– Bierzcie wszystko, co tu macie wartościowego, i idźcie stąd – polecił. – Diuk po nic tu nie wróci, więc... – Zanim wyszedł, dotknął czoła, zwrócony w stronę Ganny i Nili.

*Więc bierzcie, co chcecie* – dokończyła Nila w myślach.

Ganny zerknęła na Nilę, a potem wybiegła na korytarz. Po chwili praczka usłyszała jej kroki dobiegające ze schodów dla służby.

Wyłowiła klucze kamerdynera ze skrytki nad kominkiem i otworzyła szafkę ze srebrami. Wszystko, co chowała pod materacem na piętrze, było nic niewarte w porównaniu z kawałatkami choćby sztucca, który teraz wsadzała do jutowego worka.

Poczekwała, aż z korytarza przestaną dobiegać głosy żołnierzy, i wyciągnęła Jakoba z balii. Pomogła mu zdjęć koszulę nocną, po czym wręczyła parę brudnych spodni oraz koszulę jednego z chłopców do posług. Ubrania były za duże, ale musiały wystarczyć.

– Co robimy? – zapytał malec.

– Zabiorę cię w jakieś bezpieczne miejsce.

– A co z panną Ganny?

– Myślę, że odeszła na dobre.

– A matka i ojciec?

– Nie wiem. Myślę, że chcieliby, żebyś ze mną poszedł. – Wzięła z kąta paleniska garść chłodnych popiołów i wymieszała z wodą na dłoni. – Stój spokojnie – poleciła, rozsmarowując chłopcu popiół na włosach i policzkach. Chwyciła go za rękę i wraz z workiem peł-



nym sreber zarzuconym na ramię ruszyła w stronę tylnego wyjścia.

Na uliczce za rezydencją czekało dwóch żołnierzy. Nila szła w ich stronę z opuszczoną głową.

– Hej, ty tam – zawołał jeden. – Czyje to dziecko?

– Moje – odparła.

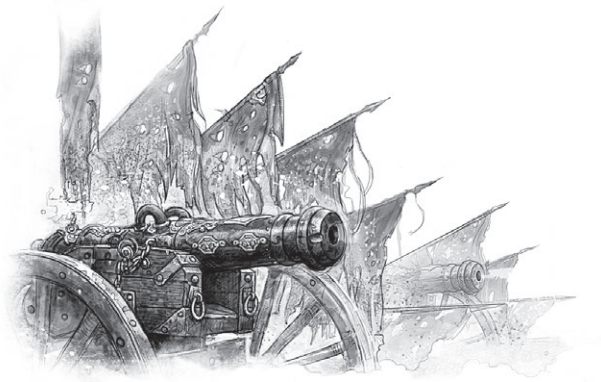
Żołnierz uniósł Jakobowi podbródek.

– Nie wygląda na syna diuka.

– Mamy ich zatrzymać, póki nie znajdziemy chłopca? – zapytał drugi.

– Sierżant Olem powiedział, że możemy iść – powiedziała Nila.

– Dobra – zgodził się żołnierz. – No to idźcie. Dzisiaj w nocy jesteśmy zajęci.



## 4

### ROZDZIAŁ

Adamat, opuściwszy pałac, wsiadł do dorożki i ruszył prosto do domu. Na koźle siedział jeden z żołnierzy Tamasa. I gdy powóz toczył się przez pogrążone w ciszy nocne ulice, Adamat miał za towarzyszy podróży jedynie zmartwienia i wątpliwości. Żałował po cichu, że nie jadą szybciej. Kiedy wreszcie wyskoczył z powozu, pchnął starą furtę, kilkoma susami przemierzył niewielki ogródek i stanął pod drzwiami domu, niebo na wschodzie zaczynało jaśnieć. Próbując wsunąć klucz w zamek, upuścił cały pęk. Przerwał próby otwarcia drzwi i odetchnął głęboko.

Powtarzał sobie, że widywał już gorsze rzeczy. Nie będzie przecież gorzej niż w trakcie zamieszek w Oktersehn. Wsadził klucz w zamek i przekręcił, a pordzewiały metal zaskrzypiał, kiedy na wpół pchnął, na wpół kopnął drzwi.

Ruszył schodami na piętro, przesadzając po dwa stopnie naraz, a potem biegł korytarzem, waląc we

wszystkie mijane drzwi. Wreszcie otworzył te do swojej sypialni.

– Faye – powiedział.

Żona uniosła głowę z poduszki i przyjrzała mu się w blasku przykręconego płomienia lampy. Na jej twarzy poruszyły się cienie, pogłębione jeszcze przez aureolę czarnych loków.

– Która godzina?

– Trochę po piątej rano – odpowiedział Adamat. Podkreślił knot i ściągnął z żony kołdrę. – Wstawaj. Jedziesz do domu w Offendale.

Faye przyciągnęła krawędź kołdry do piersi.

– Co cię napadło?! Jaki znowu dom w Offendale?

– Ten, który kupiliśmy, gdy wstąpiłem do policji, na wypadek gdyby tutaj zrobiło się zbyt niebezpiecznie dla ciebie i dzieci.

Faye usiadła.

– Myślałam, że sprzedaliśmy tamten dom. Ja... Adamacie, co się stało? – W jej głosie zadźwięczał niepokój. – Czy chodzi o sprawę Lourentów? Czy to coś nowego?

Rodzina Lourentów wynajęła Adamata, żeby sprawdził przeszłość kandydata do ręki ich najmłodszej córki. Cała sprawa zakończyła się fatalnie, gdy detektyw ujawnił, że narzeczony to oszust.

– Nie, nie chodzi o Lourentów. O coś znacznie poważniejszego. – Adamat odwrócił się, słysząc lekkie kroki. – Astrit – powiedział łagodnie. Jego najmłodsza córka trzymała pod pachą sfatygowanego pluszowego pieska. Miała sobie koszulę nocną oraz stare kapcie Faye, za duże o kilka rozmiarów. W słabym świetle wyglądała jak miniaturowa wersja matki. Zaciekawiona, przechyliła głowę na bok. – Kochanie, załóż płaszcz podróżny. Jedziesz na wycieczkę.

– A mam założyć sukienkę? – zapytała.

Zmusił się do uśmiechu.

– Nie, kochanie, tylko płaszcz podróżny na koszulę nocną. Zaraz wyjeżdżasz. Nie zapomnij o butach.

Uśmiechnęła się do niego i odwróciła, podskakując na korytarzu, a stary pluszowy piesek też podskakiwał w jej dłoni. Starsze rodzeństwo, wychodzące ze swoich sypialni, patrzyło na siostrzyczkę ze zdziwieniem.

– Josepie – Adamat zwrócił się do najstarszego syna – przypilnuj, żeby twoi bracia i siostry byli szybko gotowi do drogi. I niech się spakują na kilka tygodni.

Josep, poważny młodzieniec, niedawno skończył szesnaście lat i właśnie przyjechał do domu na wakacje. Nerwowym gestem potarł pierścień, który otrzymał od ojca Adamata na krótko przed śmiercią starca. Chłopak rzadko rozstawał się z tym darem. Josep poczekał chwilę na wyjaśnienia, a kiedy żadne nie padły, posłusznie zagonił rodzeństwo z powrotem do ich pokojów.

*Dobry chłopak.* Adamat odwrócił się do Faye, która już siedziała na łóżku.

– Lepiej, żebyś miał jakieś dobre wytłumaczenie. – Przesesała dłonią włosy, ciągnąc nerwowo, gdy palce zaplątały jej się w kędziory. – Co się stało? Czy dzieciom grozi jakieś niebezpieczeństwo? Czy tobie coś grozi? Chodzi o twoją nową pracę? Mówiłam ci, żebyś przestał węszyć za żonami szlachciców i zajmować się sprawami innych ludzi.

Adamat zamknął oczy.

– Kochanie, jestem detektywem. Sprawy innych ludzi to właśnie moje sprawy. Będą zamieszki. Chcę, żebyś w ciągu godziny razem z dziećmi opuściła miasto. Oczywiście tylko na wszelki wypadek.

– Dlaczego będą zamieszki?

Przeklęta kobieta. Ileż by dał za posłuszną żonę.

– Doszło do zamachu stanu. Manhouch w południe stanie pod gilotyną.

Miał chwilę satysfakcji, bo Faye rozdziawiła usta ze zdumienia. W następnej sekundzie już była na nogach i sięgała do szafy. Adamat przyglądał się żonie przez moment. Z upływem lat jej figura stała się bardziej kancaista. Kościste łokcie oraz pomarszczona skóra zastąpiły łagodne krągłości i słodkie pulchności. Lata, które minęły od jego odejścia z policji, również odcisnęły na niej swoje piętno i nie była już taka piękna jak za młodu. Adamat pomyślał o własnym wyglądzie. Nie miał co krytykować urody Faye. Sam był niski i łysiał, wąsy i broda też się jakoś ostatnio przerzedziły, a twarz, kiedyś okrągła, teraz się wydłużyła i wychudła. Też już nie był taki młody jak kiedyś. Jednak pasowali do siebie... Przygryzł wargę, wciąż patrząc na żonę i rozmyślając o sprawach, które będą musiały trochę poczekać.

Odwróciła się i podchwyciła jego spojrzenie.

– Jedziesz z nami, prawda? – zapytała.

– Nie.

Znieruchomiła.

– Dlaczego nie?

Powinien skłamać. Powiedzieć, że miał jakieś wcześniejsze zobowiązania.

– Jestem... zamieszany.

– O nie. Adamacie, na otchłań, co ty zrobiłeś?

Powstrzymał uśmiech. Uwielbiał, kiedy przeklinała.

– Nie tak zamieszany. Nie. To dzisiejsze wezwanie. Marszałek polny ma dla mnie zadanie.

– ON JEDEN mógł mieć dość ikry, żeby obalić króla – stwierdziła, marszcząc brwi. – No dobrze, przestań się

już szczerzyć, wezwij powóz i pomóż dzieciom założyć buty. – Machnęła ręką. – Do roboty!

Dwadzieścia minut później Adamat patrzył, jak jego rodzina pakuje się do dwóch powozów. Zapłacił woźnicom i na chwilę zatrzymał się obok żony.

– Jeśli będzie wyglądało na to, że zamieszki się do was zbliżają, to nie zastanawiaj się, tylko zabieraj dzieci do Delivu. Znajdę was, kiedy wszystko się uspokoi.

Faye zwykle spoglądała na świat twardo i z dezaprobatą, ale teraz jej rysy złagodniały nagle. W oczach Adamata znowu stała się młodą, zaniepokojoną dziewczyną, która czeka na kochanka, nadchodzącego traktem o północy. Z czułością pocałowała męża w usta.

– Co mam powiedzieć dzieciom?

– Nie okłamuj ich – odparł Adamat. – Są już duże.

– Będą się martwić. Zwłaszcza Astrit.

– Owszem.

Faye pociągnęła nosem.

– Nie byłam w Offendale od czasu, gdy pojechaliśmy tam na wakacje po urodzinach Astrit. Czy ten dom jest w dobrym stanie?

– Wyda wam się mały – odpowiedział Adamat. – Ale przytulny. I bezpieczny. Pamiętasz nasz szyfr? W pobliskim miasteczku jest poczta. Wyślę do Saddie list i poproszę, żeby przynosiła ci korespondencję.

– Czy to wszystko jest konieczne? – zapytała Faye. – Sądziłam, że to tylko zamieszki.

– Marszałek polny to niebezpieczny człowiek – odparł Adamat. – Ja nie... – Umilkł. – To tak na wszelki wypadek. Zrób to dla mnie.

– Oczywiście. Uważaj na siebie.

Adamat odwzajemnił pocałunek żony, następnie, pochylając się do okien powozów, ucałował każde ze

swoich dziewięciorga dzieci, każde z bliźniąt dwa razy. Zatrzymał się przy Astrit, przykucnął na podłodze dyliżansu, aby spojrzeć małej w oczy.

– Wyjeżdżacie na kilka tygodni. W mieście będzie trochę niespokojnie.

– Dlaczego nie jedziesz z nami? – chciała wiedzieć dziewczynka.

– Muszę pomóc, by znów było bezpiecznie. – Przypomniał sobie o Złamanej Obietnicy Kresimira i zadrżał.

– Zimno ci? – zapytała Astrit.

Powiodł palcem po jej policzku.

– Tak – powiedział. – Straszny ziąb. Lepiej już pójść, zanim się pochoruję. Bezpiecznej podróży!

Zamknął drzwiczki powozu i stanął na ulicy, patrząc, jak odjeżdżają. Będzie mu teraz brakowało Faye, i to z wielu powodów. W sprawach zawodowych była dla niego kimś więcej niż żoną. Była jego partnerem. Miała ogromną sieć przyjaciół i znajomych, wiedziała, jak wydobyć z nich plotki i pogłoski, by dotrzeć do informacji, których nawet Adamat nie potrafił uzyskać.

Zawrócił do domu. Zatrzymał się na chwilę, widząc jakiś ruch w drzwiach po drugiej stronie ulicy. Z cienia wyłonił się młody mężczyzna w długim, sztywnym płaszczu, zmierzając w kierunku przeciwnym do tego, w którym pojechały powozy. Spojrzał na Adamata i przyspieszył kroku.

Adamat przyglądał mu się uważnie, upewniając się, że mężczyzna poczuje ciężar tego spojrzenia. To na pewno był jeden ze zbirów Palagiego. Adamat nie miał wątpliwości, że wkrótce usłyszy i o samym Palagim. Wrócił do domu, zamknął za sobą drzwi na klucz i od razu skierował się do gabinetu. Przewracał zawartość szuflad biurka, póki nie znalazł papeterii.

Kiedy kończył adresowanie listów, słońce wychyliło się już znad dachów i zajrzało w okna gabinetu. Adamata bolała ręka od pisania, a ze świecy został jedynie ogarek. Detektyw ziewnął, pozwalając myślom błądzić bez celu, gdy nagle usłyszał odległy zgrzyt metalu o metal.

Wsunął cały plik listów do szuflady i zamknął ją na klucz. Ujął laskę. Przekreślił trzonek, aż rozległo się kliknięcie, a potem ruszył przez dom, nasłuchując, skąd dobiega ów niepokojący zgrzyt. Dotarł do drzwi w tylnej części domu, małych i starych, prowadzących do niewielkiego ogrodu pomiędzy domem Adamata a budynkiem z tyłu. Można było się tam dostać z samego domu albo niewielką alejką między dwoma kamienicami, z zamkniętą na klucz furtką.

Adamat gwałtownie otworzył drzwi, unosząc zarazem laskę. Trzech mężczyzn zamarło w bezruchu. Dwóch miało na sobie wyświechtane płaszcze i proste kapelusze robotników, przy czym jeden na kolanach i rękawach koszuli miał czarne plamy – pewnie od wrzucania węgla do pieca. Drugi, ten, który grzebał w zamku, nosił ubranie o wiele na niego za duże, tak jak to mieli w zwyczaju złodzieje, chcąc ukryć najrozmaitsze rzeczy. Trzeci mężczyzna nosił się bogato, spod szarego palta wystawała smoliście czarna kamizelka, zaś buty tak mu lśniły, że można było sobie obejrzeć w nich zęby.

Ten, który próbował otworzyć wytrychem drzwi, kłęcząc, gapił się na Adamata.

– Robisz taki hałas, że równie dobrze mógłbyś zapukać do frontowych drzwi – pouczył go detektyw. Westchnął i opuścił laskę. – Palagi, czego chcesz? – zwrócił się do najlepiej ubranego z nieproszonych gości.



Palagi zdawał się zaskoczony widokiem gospodarza w domu. Poprawił okrągłe okulary, które bardziej spoczywały na nalanych policzkach niż na wąskim nosie.

Człowiek ów był osobliwością. Z taką budową ciała nadawał się prosto do cyrku: okrągły brzuch zwiślał daleko za pasem, ale ramiona i nogi nie były grubsze od gałązek. Wyglądał jak przerośnięta kula armatnia z cienkimi patykami kończyn.

Kiedyś był zwykłym bandziorem i okazał się wystarczająco bezwzględny, żeby założyć legalny interes, a przy tym nie dość inteligentny, by pozostawić za sobą sprawy poprzedniego życia. W sam raz pasował na bankiera. Adamat od razu przywołał w pamięci rejestr jego przestępstw.

– Krążą słuchy, że czmychasz z miasta – powiedział Palagi.

– To znaczy tak mówi ten niedorozwinięty kundel, któremu przez ostatnich kilka tygodni kazałeś się kręcić wokół mojego domu?

– Mam swoje powody, żeby mieć cię na oku. – Bankier zdawał się zirytowany obecnością Adamata w domu.

Detektyw westchnął ciężko, widząc, jak Palagi zgrzyta zębami, bankier nie znosił bowiem, kiedy nie traktowano go poważnie. Mało się zmienił od czasów, gdy był tylko na wpół zapitym lichwiarzem.

– Termin spłaty długu upływa dopiero za dwa miesiące.

– Niemożliwe, żebyś w dwa miesiące zebrał siedemdziesiąt tysięcy krana. Dlatego kiedy usłyszałem, że twoja rodzina w środku nocy wymyka się z miasta, pomyślałem, że może stchórzyłeś i postanowiłeś zwiać.

– Zastanów się lepiej, kogo nazywasz tchórzem! – Adamat ujął laskę, jakby szykował się do ciosu.

Palagi drgnął nerwowo.

– Uplynęło sporo czasu, od kiedy porachowałeś mi kości po raz ostatni – powiedział. – Już nie chroni cię policja. Jesteś teraz jednym z nas, zwyczajnym szczerem z rynsztoka. Nie powinienes brać u mnie pożyczki – parsknął. Piskliwy śmiech działał Adamatowi na nerwy.

Teraz to detektyw zgrzytnął zębami. Wcale nie brał pożyczki u Palagiego, tylko w banku należącym do przyjaciela. Przyjaciel okazał się jednak nieuczciwy i odsprzedał dług Palagiemu za prawie sto pięćdziesiąt procent wartości. Ten zaś od razu potroił odsetki, potem pozostało mu tylko poczekać, aż upadnie założona przez Adamata drukarnia. Co zresztą nastąpiło.

Palagi otarł z oka łzę rozbawienia.

– Kiedy dowiaduję się, że osoba, która ma u mnie największy dług, wysyła swoją rodzinę za miasto akurat dwa miesiące przed terminem spłaty, to sprawdzam rzecz osobiście – stwierdził.

– I próbujesz się włamać do mojego domu? – odciął się Adamat. – Nie możesz mnie zwyczajnie ogłosić i wyrzucić na ulicę, po tym jak już nie oddam ci pieniędzy w terminie?

– Może zrobiłem się chciwy. – Palagi uśmiechnął się słabo. – Teraz chciałbym się dowiedzieć, gdzie jest twoja rodzina, tak żebym mógł sprawdzić, co u nich.

Adamat odpowiedział przez zaciśnięte zęby:

– Są u mojego kuzyna, na wschód od Nafolk. Sprawdź sobie, jeśli chcesz.

– Dobrze. Sprawdzę. – Palagi odwrócił się i zatrzymał nagle. – Jak ma na imię twoja córka? Ta najmłodsza? Myślę, że każę paru swoim chłopcom przywieźć ją z powrotem, tak na wypadek gdybyś próbował wślizgnąć się na jeden z tych nowych parowców i czmychnąć do Fatrasty.

Palagi zdążył drgnąć zaledwie, nim laska Adamata trzasnęła go w ramię. Bankier krzyknął i zatoczył się do tyłu. Węglarz uderzył detektywa w brzuch.

Adamat zgiał się wpół z bólu. Nie spodziewał się, że przeciwnik zada cios tak szybko i tak mocno. Prawie upuścił laskę, a teraz robił wszystko, żeby nie upaść.

– Naśle na ciebie policję! – zaskowyczał Palagi.

– Spróbuj – wysapał Adamat. – Wciąż mam tam przyjaciół. Wyśmieją cię i wyrzucą za drzwi. – Zdołał się wziąć w garść na tyle, by zatrzasnąć drzwi. – Wróc za dwa miesiące!

Przekręcił klucz i zamknął zasuwę.

Trzymając się za brzuch, pokuśtykał z powrotem do gabinetu. Był pewien, że po takim ciosie przez tydzień będzie miał niestrawność. Miał tylko nadzieję, że nie krwawi.

Dochodził do siebie jeszcze kilka minut, wreszcie zgarnął listy i wyszedł na ulicę. Czuł narastające wokół napięcie. Chciałby przypisać je konfliktowi, który jak wiedział, właśnie nadchodził, rewolucji, jaka przewali się przez miasto na wieść o śmierci Manhoucha, i chaosowi, jaki potem zapanuje. Modlił się, żeby Tamasowi udało się nad tym zapanować, ale wiedział doskonale, że to zadanie mogło okazać się niewykonalne. Ale nie, napięcie powodował najpewniej coraz silniejszy ból głowy oraz gdzieś w głębi brzucha.

Nieopodal poczty detektyw zatrzymał się na rogu, by odsapnąć. Dotąd nieświadomie przyspieszał kroku i teraz oddychał ciężko. Nie opuszczało go wrażenie, że gdzieś niedaleko czai się niebezpieczeństwo.

Gazeciarz, najwyżej dziesięcioletni, podskoczył do Adamata. Zatrzymał się, zaczerpnął głęboko powietrza, a następnie odrzucił głowę do tyłu i zawołał:

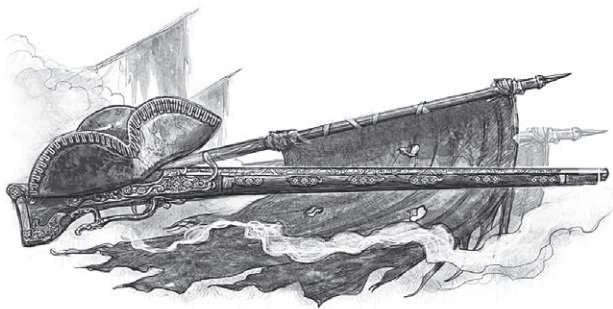
– Manhouch obalony! Król obalony! Dziś w południe Manhouch zostanie ścięty!

I już w następnej chwili zniknął za kolejnym rogiem.

Gdy Adamat otrząsnął się z oszołomienia i odwrócił, zobaczył, że inni również przystanęli. WIDZIAŁ, że obalono Manhoucha. Widział na mundurze Tamasa krew członków kamaryli. Jednak kiedy usłyszał te słowa wypowiedziane głośno, w publicznym miejscu, ręce zaczęły mu drżeć. Obalono króla. Kraj został zmuszony do zmian. Ludzie natomiast będą musieli wybrać, co zrobią w nowej rzeczywistości.

Minął pierwszy szok wywołany wieściami. Na ulicy zapanowało zamieszanie, bo przechodnie nagle zmieniali plany i ruszali w kierunkach zupełnie odmiennych niż przed chwilą. Jakaś dorożka gwałtownie zawróciła. Woźnica nie dostrzegł dziewczynki sprzedającej kwiaty. Adamat skoczył do kwiaciarczyki, złapał za ramię i odciągnął, zanim stratowały ją konie. Kwiaty rozsypały się po ulicy. Jeden z przechodniów, pospiesznie przebiegając przez ulicę, potrącił drugiego, tamten w odpowiedzi obalił go na ziemię. Ruszyli na siebie z pięściami, policyjna pałka szybko zakończyła bójkę.

Adamat pomógł dziewczynce zebrać kwiaty. Westchnął. *Zaczęło się.* Zwiesił głowę i poszedł w stronę poczty.



## 5

### ROZDZIAŁ

Tamas stał na balkonie, sześć pięter ponad olbrzymim placem noszącym miano Królewskiego Ogrodu. Wiatr wiał marszałkowi w twarz, gdy patrzył na zbierający się tłum. U stóp spały mu dwa wilczarze, nieświadome, jak ważny był to dzień. Tamas miał na sobie świeżo wyprasowany, galowy mundur, granatowy ze złotymi epoletami i guzikami, z których każdy miał wrytą małą baryłkę prochu. Kłapy, obszycia kołnierza oraz skrzydełka munduru wykonane były z czerwonego aksamitu, pas natomiast z czarnej skóry. Marszałek przypiął ordery dla podkreślenia swoich dotychczasowych zasług: złote, srebrne i fioletowe gwiazdy różnych kształtów i rozmiarów, przyznane przez rozmaitych gurlańskich szachów i królów Dziewięciu. Pod ramieniem trzymał oficerski bikorn.

Słońce dopiero co wyłoniło się znad dachów Adopestu, jednak marszałek był przekonany, że jak nic piętnaście tysięcy osób przyglądało się robotnikom stawia-

jącym gilotyny. Podobno Ogród mógł pomieścić pięćset tysięcy, połowę wszystkich mieszkańców Adopestu.

Będą mieli okazję się przekonać.

Spojrzenie Tamasa powędrowało ku wieży, która niczym czarna cień mierzyła w błękit nieba. Szablożab zbudował ojciec Manhoucha, Żelazny Król, miał być więzieniem dla jego najniebezpieczniejszych wrogów i ostrzeżeniem dla wszystkich pozostałych.

Budowa trwała blisko połowę z sześćdziesięciu lat panowania Żelaznego Króla, i to właśnie owej wieży, a dokładniej jej barwie, władca zawdzięczał swój przydomek. Szablożab był trzykrotnie wyższy od najwyższego budynku w Adopeście. Brzydki jak deszczowa noc, bazaltowy kiel sprawiał wrażenie, jak gdyby wyszarpięto go wprost z legend o czasach sprzed Ery Kresimira.

Teraz cele w wieży zostały niemal całkowicie wypełnione prawie sześcioma setkami szlachciców wraz z ich żonami i najstarszymi synami i pięcioma setkami dworzan oraz królewskich dygnitarzy, którym nie ufano na tyle, by puścić wolno. Gdy Tamas zamykał oczy, wydawało mu się, że słyszy pełne cierpienia zawrozczenie uwięzionych. Nie wiedział, czy była to tylko wyobraźnia. Szlachta wiedziała, co ją czeka. Wiedziała już od stu lat.

Tamas odwrócił się, gdy drzwi za nim szczęknęły cicho. Na balkon wszedł jakiś żołnierz. Miał mundur tego samego koloru co uniform marszałka, w klapę wpięty sierzancki trójkąt i na oko trzydzieści pięć lat, włosy przycięte równo nad uszami i do tego starannie przystrzyżoną, nieregularną brodę. W wojsku służył już od dekady, czego potwierdzeniem były galony na piersi. Tamas skinął mężczyźnie głową.

– Panie. Olem melduje się na rozkaz.

– Dziękuję, Olemie – odpowiedział Tamas. – Czy wiesz już, jakie będą twoje obowiązki przy mojej osobie?

– Ordynans – odparł Olem. – Służący i goniec. I wszystko, czego, kurde, pan marszałek polny sobie zażyczy. Z całym szacunkiem, panie.

– Zakładam, że to słowa Sabona?

– Tak jest.

Tamas powstrzymał uśmiech. Mógłby polubić tego człowieka. Aczkolwiek żołnierz wypowiadał się nieco zbyt swobodnie.

Zza ramienia Olema wypłynęła wąska wstążka dymu.

– Plecy ci się palą, żołnierzu?

– Nie, panie – zaprzeczył Olem.

– A dym?

– Papieros, panie.

– Papieros?

– Najnowsza moda. Tytoń równie dobry jak w tabace, a za pół ceny. Prosto z Fatrasty. Sam skręcałem.

– Brzmi jak zachęta do kupna. – Tamas poczuł skradające się rozdrażnienie.

– Mój kuzyn sprzedaje tytoń, panie.

– Dlaczego chowasz to za plecami?

Olem wzruszył ramionami.

– Panie, jesteś abstynentem i wszyscy dobrze wiedzą, że nie tolerujesz również palenia tytoniu.

– Dlaczego więc kryjesz to za plecami?

– Czekam, panie, żebyś się odwrócił, tak abym mógł się zaciągnąć.

Przynajmniej był szczery.

– Kiedyś kazałem wychłostać sierżanta za palenie w moim namiocie. Dlaczego uważasz, że ciebie potraktuję inaczej?

To było przed dwudziestu pięciu laty i Tamasa niemal zdegradowano.

– Albowiem chcesz, panie, żebym pilnował twoich pleców – odpowiedział Olem. – To logiczne, że nie każeś wybatożyć człowieka, od którego będzie zależeć twoje życie.

– Rozumiem – powiedział Tamas. Olem spoglądał na niego z powagą. Marszałek uznał, że polubił tego człowieka, chociaż pewnie nie powinien.

Przez chwilę taksowali się wzrokiem. Tamas nie mógł nie patrzeć na wstążkę dymu unoszącą się zza Olema. Po chwili poczuł i zapach. Woń nie była jakoś straszliwie odpychająca, mniej gryząca niż zapach cygara, ale nie tak miła jak aromat fajkowego tytoniu. Tamas wyczuwał nawet nutę mięty.

– Czy dostałem tę posadę, panie? – zapytał Olem.

– Naprawdę nie musisz spać?

Olem stuknął się w środek czoła.

– Zdolny jestem, panie. U nas to rodzinne. Ojciec na milę potrafił wywęszyc kłamcę. Kuzyn może zjeść więcej, niż zje stu ludzi, albo w ogóle niczego nie jeść całymi tygodniami. A moja Zdolność? Nie potrzebuję snu. Mam nawet trzecie oko, więc wiadomo, że to prawdziwa Zdolność.

Zdolnych uważano za najśłabszych wśród mających magiczne umiejętności. Zdolności zazwyczaj objawiały się jako jeden silny i mocno określony talent, czasem naprawdę potężny. Niejeden utrzymywał, że posiada jakąś Zdolność. Jednak tylko ci obdarzeni trzecim okiem – umiejętnością widzenia magii oraz tych, którzy nią władali – byli uznawani za prawdziwych Zdolnych.

– Dlaczego wcześniej nikt nie zrobił z ciebie strażnika?

– Nie rozumiem, panie.



– Z takim talentem powinienes już dowodzić osobistą strażą jakiegoś diuka z Kezu i zarabiać więcej niż tuzin żołnierzy. Albo służyć za morzami w Skrzydłach Adoma.

– A. Mam chorobę morską – wyjaśnił Olem.

– To znaczy?

– Strażnicy bogaczy powinni być w stanie żeglować wraz ze swoimi panami. A ja na statku jestem beużyteczny.

– Czyli że będziesz pilnował mi pleców pod warunkiem, że nie ruszę na morze?

– Na to wychodzi, panie.

Jeszcze przez chwilę Tamas przyglądał się sierżantowi. Olem był znany i lubiany – dobrze strzelał, boksował, jeździł konno, grał w karty oraz bilard. Żołnierze uważali go za swojaka.

– Masz skazę w papierach – stwierdził marszałek. – Uderzyłeś w twarz jakiegoś na-barona. Złamałeś mu szczękę. Opowiedz mi, o co chodziło.

– Panie, oficjalnie zepchnąłem go z drogi rozpędanego powozu – skrzywił się Olem. – Uratowałem mu życie. Pół mojej kompanii widziało.

– Pięścią?

– Tak jest.

– A nieoficjalnie?

– To był łajdak, panie. Zastrzelił mi psa, bo mu konia spłoszył.

– A gdybym to ja znalazł kiedyś powód, żeby zastrzelić ci psa?

– Walnąłbym pana w twarz.

– No dobrze. Masz tę pracę.

– Och, świetnie. – Olem wyglądał, jakby mu ulżyło. Wyjął papierosa zza pleców i zaciągnął się głęboko. Dym wypuścił nosem. – Zaraz by się skończył.

– A. Pożałuję tego, prawda?

– Oczywiście, że nie, panie. Ktoś tutaj jest.

Tamas dostrzegł jakiś ruch w pokoju.

– Już czas.

Zrobił krok w stronę drzwi i się zatrzymał. Wilczarze obudziły się i trzymały przy nogach swego pana. Tamas spojrział wymownie na Olema.

– Panie?

– Powinieneś otwierać przede mną drzwi.

– Racja. Przepraszam, panie. Trochę potrwa, zanim się przyzwyczaję.

– Ja także – odparł Tamas.

Olem otworzył drzwi, a wilczarze przebiegły przez próg z nosami przy podłodze. Jeśli nie liczyć narastającego gwaru, który dochodził z Ogrodu, w komnacie panowała niemal całkowita cisza. Tamas, który nie spał już od kilku dni, uznał ją za kojącą.

Stał w głównym gabinecie, jeżeli tak ogromne pomieszczenie można było w ogóle nazywać gabinetem. Zmieściłby się tu niejeden dom. Komnata miała wcześniej służyć królowi jako miejsce pracy, gdzie w ciszy i skupieniu mógł studiować i oceniać decyzje Domu Szlachty. Jednakże tak jak i wszystko, co tylko wymagało odrobiny rozumu i poświęcenia chociażby kranu uwagi sprawom państwa, gabinet pozostawał niewykorzystany przez całe panowanie Manhoucha – no może poza sytuacją, gdy w minionym roku monarcha użył go swojej faworycie, póki nie odkryli tego królewscy doradcy, o czym Tamas wiedział z dobrze poinformowanych źródeł.

Ricard Tumblar stał przy stole z przekąskami, przebieając wśród słodkich ciasteczek i szukając najlepszych. Choć jego krótkie brązowe włosy zaczynały już rzed-

nać, wciąż pozostawał przystojnym mężczyzną, o pełnej twarzy i długiej brodzie noszonej na fatrastańskiej modłę. Założył kosztowny strój wykonany z sierści jakiegoś zwierzęcia ze wschodniej Gurli. Kapelusz i laskę, w równie eklektycznym i luksusowym guście, pozostawił przy drzwiach.

Ricard stał na czele jedyne go związku zawodowego w Adopeście, a także należał do rady współpiskowców Tamasa. Był przy tym jedynym członkiem owej rady, który stanowił miłe towarzystwo dłużej niż kilka minut. Hrusch i Rehot trącały go nosami, póki nie dał im po ciastku. Pochwyciły swój łup i umknęły na podokiennej otomanę.

Tamas westchnął. Nie znosił, gdy ludzie karmili jego psy. Tydzień upłynie, zanim się teraz porządnie wysrają.

– Często się – powiedział głośno.

Ricard posłał mu szeroki uśmiech.

– Dziękuję, chętnie. – Wrzucił ciastko do ust i kontynuował, żując: – Zrobiłeś to, chłopie. Nie wierzyłem, a ty tego dokonałeś.

– Jeszcze nie – odparł Tamas. – Trzeba wykonać egzekucje, przywrócić w mieście porządek. Poradzić sobie z zamieszkami i rojalistami, i wciąż jeszcze muszę rozliczyć się z Kezem.

– I rządzić krajem – dodał Ricard.

– Na moje szczęście, od tego jest rada.

Ricard przewrócił oczyma.

– Zaiste, twoje szczęście. Przeraza mnie sama myśl o pracy z resztą. Trzeba nam będzie twojej mocnej ręki, żebyśmy nie rzucili się sobie do gardeł.

– Zgadza się – powiedział Ondraus.

Podskarbi wszedł wolnym krokiem do gabinetu, z laską w ręce i grubą księgą pod pachą. Niespiesznie skie-

rował się do królewskiego biurka, rzucił na nie folią, a sam opadł na krzesło. Tamas zdławił protest.

Ondraus otworzył księgę. Marszałek mógłby przysiąc, że uniósł się z niej kurz. Podszedł bliżej. Była bardzo stara, na okładce złotą nicią wyszyto jakieś słowo w starodeliwijskim. Coś związanego z pieniędzmi, zgadł Tamas. Strony księgi wydawały się niemal czarne. Dopiero z bliska widać było drobnitkie pismo: litery oraz liczby ujęte w tabelki, zapisane tak gęsto, że należało je oglądać przez szkło powiększające.

– Skarbiec królewski jest pusty – oznajmił Ondraus. Wyjął lupę z kieszeni i przyłożył do strony, odczytał kilka przypadkowych liczb.

Ricard gwałtownie zaczerpnął powietrza i zakrztusił się ciastkiem.

Tamas spojrzał prosto na podskarbiego.

– Jak to?

– Nie oglądałem tej księgi od śmierci Żelaznego Króla. – Ondraus wskazał tom palcem. – Zapisane są w niej wszystkie transakcje dokonane w imieniu korony przez ostatnie sto lat. Co do krana. Od kiedy Manhouch wstąpił na tron, znajdowała się w rękach jego osobistych księgowych. Trzeba przyznać, że starannie odnotowywali wszelkie wpływy i wydatki. Zgodnie z wyliczeniami w skarbcu królewskim nie ma już ani krana.

Tamas zacisnęła pięści, aby powstrzymać drżenie rąk. Z czego opłaci żołnierzy? Z czego wyżywi ubogich i sfinansuje policję? Potrzebował setek milionów, a miał nadzieję na przynajmniej dziesiątki.

– Podatki. – Ondraus z hukiem zamknął księgę. – Najpierw będziemy musieli podnieść podatki.

– Nie – sprzeciwił się Tamas natychmiast. – Wiesz, że to nie wchodzi w rachubę. Jeśli zastąpimy Manhoucha

jeszcze większymi podatkami, bardziej jeszcze wzmożemy kontrolę, to w przeciągu roku nasze głowy wylądują w koszu.

– Dlaczego mielibyśmy podnosić podatki? – Arcybiskup Charlemund wszedł do gabinetu pewnym krokiem, zamiatając podłogę skrajem fioletowej szaty. Był to człowiek wysoki, silny, bardzo sprawny fizycznie. Nie utracił nic z krzepy właściwej młodości, w przeciwieństwie do większości mężczyzn w wieku średnim. Miał kwadratową twarz o gładko wygolonych policzkach i szeroko osadzonych brązowych oczach. Odziany był w drogie futra i jedwabie. Na głowie nosił niewielką czapkę wyszywaną złotem, a na palcach pierścienie tak kosztowne, że można by za nie kupić z tuzin rezydencji. Tak samo ubierali się i pozostali arcybiskupi Kościoła Kresimskiego.

– Jak widzę, założyłeś na siebie całą zawartość szafy – zauważył Ricard.

– Charlemundzie – Tamas skłonił lekko głowę.

Arcybiskup pociągnął nosem.

– Jestem człowiekiem Powroza – powiedział. – Mam tytuł, którego mógłbyś używać, chociaż ciężko mi o tym przypominać.

– Wasza Eminencjo! – Ricard udał, że zdejmuje z głowy kapelusz, i ukłonił się nisko.

– Nie oczekuję, że ktoś taki jak ty to zrozumie – odpowiedział arcybiskup. – Wyzwałbym cię na pojedynek, ale jesteś zbyt wielkim tchórzem.

– Od tego mam ludzi. – W spojrzeniu Ricarda mignęła strach. Zanim arcybiskup wstąpił na służbę Powroza, był najlepszym szermierzem we wszystkich Dziewięciu. Nadal rzucał wyzwania i nie bacząc na stan kapłański, patroszył przeciwników bez litości.

– Majątki – Tamas zwrócił się do podskarbiego. – Teraz posiadamy połowę Adro, jako że każdy szlachcic i jego dziedzic zakosztują wkrótce ostrza gilotyny. Ondrausie, spodziewam się, że bardzo ci się to spodoba: wyprzedawaj majątki. Powoli, ale na tyle szybko, żeby sfinansować wszystkie omawiane przez nas projekty. Jeśli trzeba, sprzedawaj za granicą, ale zdobądź dla nas jakieś cholerne pieniądze.

– Mieliśmy plany związane z tymi majątkami – przypomniał marszałkowi arcybiskup.

– Tak, i...

– Co dzieje się z majątkami?

Tamas westchnął. Lady Wincelav weszła do komnaty w sukni, która mogłaby spokojnie konkurować z szatami arcybiskupa pod względem ilości użytego materiału i drogocennych kamieni. W jej uszach kołysały się diamentowe kolczyki. Miała około pięćdziesięciu lat, wysokie kości policzkowe oraz wąską talię. Dowodziła Skrzydłami Adoma, najbardziej elitarnymi najemnikami świata, i była rodowitą Adranką. Przez ostatnich kilka miesięcy w ramach przygotowań do przewrotu podległe jej oddziały cichcem ściągano z zagranicznych placówek do Adro. Tamas wiedział, że w najbliższym czasie będzie ich rozpaczliwie potrzebował.

Śladem lady Wincelav podążał duży, łysy mężczyzna w jednoczęściowej szacie, eunuch Szafarza, a za nim szedł Pierwszy Lektor, kanclerz Uniwersytetu Adopestańskiego. Jak nic miał tyle lat co podskarbi, za to ważył o dobrych dziesięć kamieni więcej. Z wysiłkiem podszedł do krzesła.

Wszyscy współpiskowcy Tamasa dotarli na spotkanie: pięciu mężczyzn i jedna kobieta, którzy pomogli

mu zaplanować obalenie Manhoucha, a teraz decydowali o przyszłości Adro.

– Tamasie, na otchłań. – Kanclerz otarł pot z czoła. Fioletowe znamię siedziało na jego szczęce po lewej stronie niczym wielgachny pająk, sięgając ust i oka. Miał brodę, jednak na znamieniu nie rosły włosy, co nadawało staremuczonemu wyjątkowo dziki wygląd. – Musiałeś wybrać akurat najwyższe piętro? Pożałujesz tego za kilka lat, kiedy wiek dobierze się do twoich kości.

– Pani – Tamas uklonił się lady Wincslav, a potem kanclerzowi i eunuchowi. – Pierwszy Lektorze. Eunuchu. Dziękuję za przybycie.

Eunuch wślizgnął się do kąta i wyrzał przez okno. Poruszał się jak węgorz i pachniał południowymi przyprawami, jednak Szafarz, najpotężniejsza postać adopestańskiego półświatka, nigdy nie zjawiał się na spotkaniach osobiście. Wysyłał tylko swojego bezimiennego przedstawiciela.

– Nie mieliśmy dużego wyboru – odezwał się eunuch. Brzmiał niczym dziecko w kościele. – Przyspieszyłeś harmonogram.

– To nie wszystko – odezwał się Charlemund niepotrzebnie gromko. – Próbuje przejąć majątek skonfiskowany szlachcom.

Członkowie rady zaczęli się przekrzykiwać. Tamas uniósł dłonie, by ich uciszyć.

– Nie jesteśmy tutaj po to, żeby dzielić się Adro. – Popatrzył wrogo na arcybiskupa. – Jesteśmy po to, żeby zwrócić kraj jego mieszkańcom. Skarbiec królewski jest pusty. Jeżeli chcemy w ciągu najbliższych kilku lat zachować choćby cień kontroli, rozpaczliwie potrzebujemy pieniędzy. Lady, twoi najemnicy dostaną ziemię,

Ricardzie, twój związek zawodowy dostanie swoje przywileje. Każdy otrzyma swój udział.

– Piętnaście procent dla Kościoła – zażądał cicho arcybiskup, uważnie studiując własne paznokcie.

– Do otchłani z tobą – nie wytrzymał Ricard.

– Ciebie tam posłę. – Arcybiskup postąpił krok w jego stronę. Włożył dłoń pod szatę. Tumbler odsunął się niezgrabnie.

– Charlemundzie! – zawołał Tamas.

Kapłan zatrzymał się, odwrócił do marszałka.

– Kościół dostanie zwyczajową daninę w wysokości piętnastu procent. Taka była cena za nasze wsparcie.

– Cena? – powtórzył Tamas. – A ja sądziłem, że Kościół uświęcił zamach stanu dlatego, że Manhouch pozwolił swoim poddanym umierać z głodu. A może dlatego, że Manhouch opodatkował Kościół, żeby opłacić pałac pełen konkubin? Sam już nie pamiętam. Kościół dostanie pięć procent i będzie zadowolony.

– Jak śmiesz! – Arcybiskup zrobił krok w stronę Tamasa.

Tamas też postąpił krok naprzód. Jego dłoń powędrowała do krótkiej szpady na biodrze.

– Wyzwij mnie – zachęcił kapłana. – Postaram się, żeby było ciekawiej, i nie wybiorę pistoletów.

Charlemund się zawahał. Kącik jego ust uniósł się w sarkastycznym uśmiešku.

– Gdybym cię usunął, cały kraj popadłby w chaos i anarchię – powiedział. – Przede wszystkim służyć bogu. Ale potem swojemu krajowi. Porozmawiam z pozostałymi arcybiskupami i zobaczę, co mogę zrobić. – Wyjął rękę spod szaty i rozłożył je w geście pokoju.

Tamas odpowiedział mu nieszczerym uśmiechem.

– Dziękuję. – Położył dłoń na rękojeści szpady.



– Skoro skarbiec królewski świeci pustkami, to skąd Manhouch brał pieniądze?

– Pieniądze Kościoła – warknął arcybiskup.

– Między innymi – sprostował Ondraus. – Zaciągnął ogromne kredyty w licznych bankach w całym Dziewięciu. Korona jest winna Kezowi prawie sto milionów krana.

Ricard gwizdnął cicho.

– Korona zaraz spadnie do kosza – zwrócił się Tamas do podskarbiego. – Kiedy zaczniesz wyprzedawać majątki szlachty, od razu spłacaj krajowe banki. Jeżeli uda się znaleźć jakieś pieniądze, to spłać naszych sojuszników.

– To głównie pieniądze z Kezu. – Ondraus wzruszył ramionami.

– Dobrze. To niech sobie gniją – powiedział Tamas z mocą.

Odwrócił się, słysząc śmiech. Eunuch cały czas stał pod oknem. Nalał sobie szklankę chłodnej wody i teraz wpatrywał się w jej dno.

– Przez twoją osobistą wendetę przeciwko Kezowi wszyscy zobaczymy niewłaściwą stronę katowskiego ostrza – stwierdził.

– To nic osobistego – warknął Tamas. Jednak zdawał sobie sprawę, że nikogo nie oszukał. Wiedzieli o jego żonie. Całe Dziewięć wiedziało. Niemniej Tamas zaprzeczał. – Ten dług tłumaczy, dlaczego Manhouch tak bardzo chciał zapisać Adro Kezowi. – Umilkł. – Czy któreś z was czytało tekst Ugód?

– Miały ograniczyć uprawnienia związków zawodowych – powiedział Ricard.

– I wyjąć spod prawa Skrzydła Adoma – dodała lady Winceslav.

– A czytaliście te fragmenty, które nie odnosiły się bezpośrednio do was?

Kanclerz uniósł rękę. Wszyscy pozostali unikali wzroku Tamasa.

– Ugody położyłyby kres Adro, jakie znamy – powiedział Tamas. – Pod każdym względem, wyjąwszy nazwę, stalibyśmy się niewolnikami Kezu. Pod rządami Manhoucha lud głoduje i kraj cierpi, a pod rządami Kezu cierpiałby jeszcze bardziej. To właśnie DLATEGO wysyłamy Manhoucha na gilotynę.

Nie dlatego, że Kez postąpił tak samo z żoną Tamasa, a Manhouch na to pozwolił.

– Zamierzasz coś powiedzieć? – spytała nieoczekiwanie lady Wincelav.

– Komu? – zdziwił się Tamas.

– Tłumowi. Musisz przemówić do ludu. Ich monarcha ma zostać ścięty. Pozostaną bez przywódcy. Muszą wiedzieć, że mają kogoś, kto nimi pokieruje w nadchodzących czasach.

W trakcie prawie nieuchronnej wojny z Kezem. Pewnie właśnie to miała na myśli.

– Nie – odparł Tamas. – Dzisiaj niczego nie powiem. Poza tym to nie ja zastąpię króla. Wasza szóstka to zrobi. Moim zadaniem będzie obrona kraju i utrzymywanie pokoju, podczas gdy wy stworzycie rząd mający na uwadze dobro ludu.

– Rozsądnie byłoby powiedzieć cokolwiek – stwierdził kanclerz, a jego zamię poruszało się dziwnie przy każdym słowie. – Właśnie aby utrzymać pokój.

Tamas zmierzył ich wszystkich spojrzeniem.

– Teraz lud pragnie krwi, a nie słów. Pragnął jej od lat. Ja to czułem i wy to czuliście. To dlatego zebraliśmy się, aby zrzucić Manhoucha z tronu. Zamierzam dać im

krw. Mnóstwo krwi. Aż się nią zadławiają i porzygają. A potem moi żołnierze pokierują ich do Dzielnicy Samaliańskiej, gdzie będą mogli rabować domy szlachciców, gwałcić im córki i zabijać młodszych synów. Pozwolę im zachłysnąć się szaleństwem. Za dwa dni stłumię rozruchy. Zostaną ogłoszone proklamacje. Moi żołnierze jedną ręką będą dławić zamieszki, a drugą rozdawać ubogim jedzenie i ubrania, a ja przywrócę porządek.

Sześciu członków rady wpatrywało się w niego w milczeniu. Lady Wincelav zbladła, a Ricard za przykładem eunucha studiował dno szklanki. Tamas pozwolił im pomyśleć przez chwilę. Zastanowił się nad tym, co był gotów uczynić, żeby strzec swojego kraju, zadbać o wymierzenie sprawiedliwości oraz przywrócenie porządku.

– Jesteś groźnym człowiekiem – zauważył arcybiskup.

– Mówisz tak, jak gdybyś potrafił kontrolować tłuszczę – odezwał się eunuch. W jego głosie zabrzmiało lekceważenie.

– Tłuszczę nie da się kontrolować – powiedział Tamas. – Ale można spuścić ją ze smyczy. Ja jestem gotów zaakceptować tego konsekwencje. Jeżeli uważacie, że musicie zaprotestować, zróbcie to teraz, ale mówię wam, ci ludzie chcą krwi.

Pozostali milczeli.

– Mamy jeszcze inne rzeczy do omówienia – podjął marszałek po chwili.

Potem zasiadł w kącie. Niewiele mówił, bardziej przysłuchiwał się, jak członkowie rady dyskutują na temat różnych szczegółów związanych z nadchodzącymi miesiącami. Trzeba wyznaczyć gubernatorów, na nowo spisać prawa, opłacić robotników. Mieli przed sobą długą oraz trudną drogę. Gwizdnął cicho, wzywając psy, a potem oparł dłonie na ich łbach i słuchał.

Uniósł głowę, gdy skrzypnęły drzwi balkonowe. Nagle zorientował się, że drzemał.

– Panie – powiedział Olem – już czas.

Marszałek wstał, potrząsnął głową, odpędzając resztki snu, podszedł do drzwi, otworzył je przed lady Wincelav.

– Pani.

Wszyscy wyszli na balkon. Tamas spojrzał na Ogród, a widok zaparł mu dech w piersiach. Z góry nie widać było ani jednego kamienia bruku. Ludzie stali ramie przy ramieniu, szmer przyciszonych głosów brzmiał niczym plusk fal na plaży. Tłum zapełnił cały Królewski Ogród oraz wylewał się w pięć odchodzących od niego ulic. Nie miał kresu.

– Panie – odezwał się Olem.

Marszałek zmusił się, aby oderwać wzrok od ludzkiej ciżby. Szczycił się tym, że jest człowiekiem, który rzadko się lęka, ale ten ogromny tłum sprawił, że Tamas poczuł się mały. Przez chwilę zastanawiał się, czy aby nie oszalał. Nikt nie potrafiłby ujarzmić tej masy. Wystarczyło mu spojrzeć na miny towarzyszy, by zrozumieć, że podzielają jego odczucia – nawet oschły, wiecznie zirytowany Ondraus zamilkł.

Tamas poprawił kapelusz, by osłonić się przed południowym słońcem, i przesunął dłonią po policzku. Uświadomił sobie, że nie golił się już od dwóch dni i szczękę porosła mu gęsta szczecina, nieprzystająca marszałkowi polnemu w galowym mundurze.

Głosy dobiegające z placu ucichły. Odwrócił się i poczuł, jak serce nagle uderza mu szybciej, gdy zrozumiał, że wszystkie twarze zwróciły się teraz w jego stronę.

– Jeszcze nigdy nie widziałem tak wielkiego tłumu i tak skupionych słuchaczy – mruknął. – Wszystko gotowe? – zapytał Olema.

– Tak, panie.

Tamas przyjrzał się dachom okolicznych budynków. Obsadzili je jego prochowi magowie i najlepsi strzelcy, z karabinami wycelowanymi w tłum. Tamas próbował przypomnieć sobie twarz Uprzywilejowanej, która nocą zmasakrowała jego magów. Ogorzała, z siateczką zmarszczek w kącikach oczu, okolona posiwiałymi włosami. Pamiętał, że jej szaty miały zapach kurzu. Ciekawe, czy się pojawi, czy spróbuje ratować króla. Tam, w królewskim pałacu rysującym się na linii horyzontu po wschodniej stronie, Taniel i najemnicy ruszali właśnie jej tropem.

Tamas zerknął na towarzyszy, stojących wraz z nim na tarasie. Ciekawe, co by powiedzieli, gdyby im zdradził, że byli przynętą dla Uprzywilejowanej. Czuł, że Olem otworzył trzecie oko i obserwuje tłum.

– Daj sygnał – polecił.

Olem podniósł dwie flagi, dwukrotnie nimi zamachał.

Brama Szablozębu otworzyła się ze zgrzytem słyszalnym w promieniu pół mili. Przez tłum przetoczyły się gigantyczne fale, w miarę jak zgromadzeni na placu ludzie odwracali się w stronę upiornego dźwięku. Tamas pochylił się w przód, serce waliło mu w piersi niczym młot.

Z bramy więzienia wyjechali konno żołnierze. Zaczęli torować drogę przez ludzką ciżbę. Tamas dostrzegł na czele kolumny lśniąca, czarną głowę Sabona. Delivijczyk nie przestawał wykrzykiwać poleceń. Zgromadzeni na placu ludzie cofnęli się przed żołnierzami, ci zaś utworzyli kordon. Z bramy wyłoniła się zwyczajna karetka więzienna.

Tłum ryknął jak gdyby jednym głosem, naparł na żołnierzy. Przez moment Tamas obawiał się, że Sabon

i jego ludzie zostaną ściągnięci z siodła. Czy król w ogóle dotrze do gilotyny?

Żołnierze zdołali utrzymać się na pozycjach wokół karetki, krok za krokiem zmierzali w stronę placu, cały czas zmagając się z tłumem. W końcu pojazd zatrzymał się przed gilotynami, zaraz pod balkonem, na którym stał Tamas. Żołnierze stanęli w dwóch szeregach, prowadzących aż do bram Szablozębu, powstałe między nimi wolne przejście przypominało z góry olbrzymiego węża pełznącego poprzez tłum. Marszałek z wysiłkiem przełknął ślinę. Pomiedzy żołnierzami przesuwiał się jeszcze jeden szereg, sięgający bram więzienia, tworzyło go ponad tysiąc osób skutych ze sobą łańcuchami, które pętały im nogi. Byli to szlachcice, ich najstarsi synowie oraz małżonki. Potargane, wykwintne stroje nic nie znaczyły dla tłuszczy, ludzie pluli i obrzucali szlachtę zgniłym jedzeniem z za pleców żołnierzy Tamasa.

– Kat przejdzie po tym na emeryturę – rzucił półgłosem Olem.

Patrząc na plac, Tamas czuł zarazem uniesienie i obrzydzenie. Ten widok stanowił kulminację dziesiątków lat snucia planów. Marszałek drżał z podniecenia i dygotał targany wątpliwościami. Jeśli jakiś jego czyn przejdzie do historii, to będzie to właśnie ten.

Po prawej, przy końcu alei Królowej Floun zapanało jakieś poruszenie. Tamasowi serce podeszło do gardła.

– Karabin – zażądał.

Olem podał broń.

– Zapasowy ładunek.

Marszałek wziął papierową gilzę i rozdarł ją w palcach. Dotknął językiem czarnego prochu i od razu poczuł mrowienie. Wzdrygnął się i uchwycił balustrady,

gdy świat zatańczył mu się przed oczyma. Zacisnął powieki, a kiedy ponownie je uchylił, wszystko widział o wiele wyraźniej. Mógł zobaczyć pojedyncze włosy na głowach osób stojących sześć piętér niżej, a także to, co działo się pół mili w głąb alei Królowej Floun.

– Dragoni – oznajmił. – Cała kompania.

Dragoni w dekoracyjnych mundurach królewskich Hielmenów parli przed siebie na potężnych rumakach bojowych. Z szablami i pistoletami w dłoniach sunęli poprzez tłum jak po pustej ulicy, nie oglądając się za siebie, trатовali kobiety oraz dzieci.

Olem nie czekał na rozkaz i uniósł flagę sygnalizacyjną. Zamachał nią nad głową, a następnie opuścił poziomo, wskazując aleję Królowej Floun. Tamas zobaczył, jak ciemno ubrani mężczyźni, ledwie kropki pośród tłumu, ruszyli we wskazanym kierunku. Byli to żołnierze słynnej Straży Górskiej, wielcy i nieokrziesani, sprowadzeni specjalnie po to, by Tamas miał choćby częściową kontrolę nad tłumem. Strzelcy na budynkach ponad aleją też odwrócili się w stronę dragonów. Tamas spojrzął szybko na Olema. Sabon dobrze opisał sierżanta. Jasnowłosy żołnierz zachowywał się jak prawdziwy zawodowiec, nawet nie mrugnął, chociaż pojawienie się Hielmenów mogło zagrozić przewrotowi.

– Nie strzelać bez mojego rozkazu – polecił Tamas. Olem przekazał rozkaz żołnierzom kilkoma ruchami flag.

Dragoni zwolnili, gdy dotarli do skraju Królewskiego Ogrodu. Nawet wierzchowce ważące po sto czterdzieści kamieni nie mogły łatwo przebić się przez taką ciżbę. Coraz więcej ludzi padało pod kopytami, bo i nie było gdzie uciekać. Tłum zwrócił się przeciwko dragonom.

Konie wreszcie się zatrzymały. Dalej musiałyby stąpać po ludzkich głowach. Dragoni popędzali je, tymcza-

sem za nimi podniosły się jęki i zawodzenia. To krewni i przyjaciele stratowanych krzyczeli w gniewie i rozpacz, próbując pomóc rannym.

Pierwszy Hielmen został ściągnięty z konia, tłum zakrył go w mgnieniu oka. Pochwycono i pozostałych, którzy w panice zaczęli wymachiwać szablami. Któryś z nich strzelił, a tłum odpowiedział rykiem furii.

Jeden z Hielmenów utrzymał się w siodle przez kilka minut. Zmusił wierzchowca do tańczenia w kółko i machał szablą, utrzymując tłum na dystans. Ale i on podzielił wkrótce los swych towarzyszy i zniknął wśród tłuszczy. Tamas usłyszał, jak ktoś głośno wciąga powietrze, jakby z zaskoczenia. Lady Wincelav osunęła się zemdlna. Ponad tłum wyłoniła się głowa. Wciąż w ozdobionej piórami czapce Hielmena, ale ewidentnie brakowało jej ciała. Ludzie przekazywali ją sobie z rąk do rąk, nie bacząc na krew. Wkrótce dołączyły do niej inne głowy.

Tamas zmusił się, by patrzeć. To wszystko było jego dzieło. Dla Adro. Dla ludu.

Dla Eriki.

– Straszna śmierć, panie – stwierdził Olem. Zaciągając się papierosem, patrzył na makabryczne przedstawienie wraz z Tamasem, podczas gdy nawet Charlemund się odwrócił.

– Tak – zgodził się Tamas.

Króla i królową prowadzono na szafot. Znajdowało się na nim sześć gilotyn, jedna przy drugiej, kaci czekali gotowi. Manhouch oraz jego żona stanęli przed tłumem, obrzucani zgniłym jedzeniem. Tamas aż mrugnął, gdy skrwawiony ochłap mięsa uderzył królową w twarz, zostawiając szkarłatną smugę na jej alabastrowej skórze oraz kremowej koszuli nocnej. Zemdląca, upadła na



deski szafotu. Zdawało się, że Manhouch w ogóle tego nie zauważył.

Tamas znowu spojrzął na głowy Hielmenów. Przekazywane z rąk do rąk zbliżały się do gilotyny.

Król wpatrywał się w marszałka przez chwilę, potem pogmerał w kieszeni i wyciągnął zabrudzoną kartkę. Odchrząknął, następnie zaczął przemawiać, chociaż Tamas wątpił, by ktokolwiek poza mistrzem małodobrym słyszał jego słowa. Zgiełk wzmagął się w miarę, jak Manhouch starał się wywrzeszczyć swą przemowę, aż wreszcie monarcha umilkł, schylił głowę, uznając swą porażkę. Kat szarpnął okowy, ale król zamarł w bezruchu, aż w końcu mistrz musiał chwycić go za kark i zaciągnąć na gilotynę.

Tamas uznał, że dla tych dwojga swoistym dobrodziejstwem było, iż omdleli, zanim spadło ostrze.

Głowa Manhoucha wpadła do kosza, a na pierwsze rzędy gapiów bryznęła fontanna krwi, mimo że nie mogli podejść bliżej niż dziesięć kroków do szafotu. Królową ułożono pod drugim ostrzem, podczas gdy robotnicy wciągali na górę pierwsze. Jej głowa spadła w burzy jasnych loków.

– To zajmie cały dzień – mruknął Ricard.

– Owszem – przyznał Tamas. – I jutrzejszy też. Mówiłem, że dam ludziom tyle krwi, że się nią zadławiają. – Spojrzął na karmazynową kałużę płynącą spod gilotyny ku stopom najbliższej stojących. Królewski Ogród nasiąknie krwią, kamienie placu pokryją się rdzawymi plamami.

Tamas raz jeszcze obrzucił tłum uważnym spojrzeniem i zszedł z balkonu. Uprzywilejowana się nie pojawiła. A to znaczyło, że gdzieś tam, w ukryciu, był jeszcze

jeden nieznany wróg. Nie, poprawił się. Nie nieznany. Taniel ją odnajdzie.

– Zamieszki zaczną się, kiedy ludzie zgłodnieją – stwierdził, nie zwracając się do nikogo konkretnego. – Jutro wprowadzimy godzinę policyjną. Do tego czasu sugeruję wam wszystkim pozostanie w domach.



## 6

### ROZDZIAŁ

Adamat pojechał na Uniwersytet Adopestański do Arozką. Droga nie była długa, jednak zdawało się, że wszyscy mieszkańcy stolicy zmiierzają do centrum, zaś uniwersytet znajdował się na obrzeżach miasta. Kiedy dorożka dotarła do Kirkamshire, morze ludzi zmieniło się w strumyk zaledwie. Na uczelni zaś panowała niesamowita cisza.

Wszyscy poszli obejrzyć egzekucję. Tamas jak nic posłał swoich najszybszych jeźdźców z wieściami na peryferie, żeby każdy miał szansę ujrzeć śmierć Manhoucha. Ryzykowne posunięcie. Lud będzie się cieszyć. Adamat się cieszył. Miał tylko nadzieję, że nie wymienili idioty na tyrana.

Kiedy przemierzał opustoszały uniwersytet, usłyszał jakiś odległy szum. Adamat uznał, że to ryk miliona świadków dekapitacji króla. Wkrótce dojdzie do pierwszych grabieży, kiedy ludzie zaczną po trochu opuszczać miejsce egzekucji i zorientują się, że wszyscy pozosta-

wiali otwarte domy, sklepy bez opieki. Potem nastąpią zamieszki, brat zwróci się przeciwko bratu. Jeśli Kresimir pozwoli, to wtedy Adamat będzie już z powrotem w domu.

Przeszedł między solarium a biblioteką, jego kroki rozbrzmiewały echem na pustym dziedzińcu i na schodach do głównego budynku administracji. Potężne dębowe wrota okute żelazem nie były zamknięte. Za nimi Adamat mijał kolejne drzwi, prowadzące do biur, na moment zatrzymał się pod portretem obecnego kanclerza. Pierwszy Lektor nawet w młodości nie grzeszył urodą, bowiem jedną trzecią twarzy zajmowało mu fioletowe znamię, za to jako uczonec nie miał ponoć sobie równych. Adamat minął biuro kanclerza i skierował się do następnych drzwi.

Były niewielkie, otwarte na oścież i zabezpieczone drewnianym klinem, a pomieszczenie za nimi wyglądało tak skromnie, że można by je wziąć za klitkę woźnego. Adamat słyszał dobiegające stamtąd drapanie staroświeckiego gęsiego pióra.

Zapukał dwukrotnie w futrynę. Za prostym biurkiem ustawionym w kącie ciasnej izby siedział młody mężczyzna. Można by przypuszczać, że gabinet asystenta kanclerza będzie zavalony papierzyskami, jednak każdy skrawek papieru, każda księga i każdy zwój zostały starannie ułożone, a wszystkie powierzchnie odkurzone. Adamat uśmiechnął się pod nosem. Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają.

– Adamacie. – Uskan odłożył pióro na podstawkę i dmuchnął kilkakrotnie na kartkę, żeby wysuszyć atrament. – Miła niespodzianka.

– Uskanie, cieszę się, że jesteś tutaj – odpowiedział Adamat – i nie oglądasz egzekucji.

Po twarzy Uskana przemknął cień. Uczony obszedł biurko i uścisnął Adamatowi dłoń.

– Jedna z moich studentek ma bardzo lekkie pióro. Kazałem jej opisać wszystko dla potomności. – Skrzywił się z niesmakiem. – Mam dużo pracy. Co mi po jakimś krwawym spektaklu?

Adamat uważnie przyjrzał się Uskanowi. Jego przyjaciel wyglądał zaiste młodo, nikt by mu nie dał czterdziestu pięciu lat. Zmarszczki świadczyły jedynie o tym, że zbyt często mruży oczy, czytając przy słabym świetle.

– To spektakl stulecia – zauważył Adamat.

– Tysiąclecia – poprawił go Uskan. Powrócił na swoje miejsce i zaproponował Adamatowi jedyne wolne krzesło w pokoju. – Jeszcze nigdy w historii Dziewięciu, od samego ich założenia przez Kresimira i jego braci, żaden król nie został zdetronizowany. Ani razu. Nawet nie wiem... nawet nie wiem, co mam powiedzieć. – Start z twarzy zmartwioną minę opuszkami palców, jakby była drobką kurzu. – Co słyszać u Faye?

– Na szczęście jest teraz z dziećmi poza miastem.

– Szczęśliwy traf.

– Tak.

– A jak tam twoja drukarnia? – ożywił się Uskan. – Byłem tak długo zagrzebany w robocie, że nawet nie pomyślałem, aby wysłać do ciebie list. To na pewno niesamowite, oglądać tę maszynę przy pracy. Pierwsza napędzana parą maszyna drukarska w całym Adro!

– Nie słyszałeś? – skrzywił się Adamat.

Uskan przecząco potrząsnął głową.

– Wybuchła.

Uskan otworzył usta ze zdumienia.

– Nie!

– Zabiła czeladnika i zniszczyła pół budynku. Wyszedłem akurat na filiżankę herbaty, a kiedy wróciłem... – Adamat zrobił gest naśladujący eksplozję. – Nie ma już wydawnictwa Adamat i Przyjaciele.

– Z pewnością byłeś ubezpieczony.

– Oczywiście. Odmówili wypłaty. Wniosłem pozew o odszkodowanie. Okazało się, że taniej im wychodzi przekupienie sędziego niż pokrycie wszystkich moich strat.

Uskan bezgłośnie poruszył wargami.

– Aż ciężko uwierzyć. Byłem przekonany, że przed tobą sława i bogactwo. Gdyby to się udało, byłbyś teraz zamożnym człowiekiem. Właśnie czytałem w gazetach, że w przeciągu ostatnich sześciu miesięcy w samym Adopeście otwarto jedenaście księgarń. Czytanie stało się bardzo modne. Poezja, powieści, książki historyczne. Ten przemysł kwitnie!

– Nawet mi nie mów.

Uskan się przygarbił.

– Adamacie, tak mi przykro.

Detektyw machnął ręką.

– Zdarza się. To było prawie rok temu. Poza tym nie przyszedłem rozmawiać o swoich kłopotach. Pracuję.

– Śledztwo? Dobrze, że zostało ci jeszcze to.

– Tak.

– Mów, jak mogę ci pomóc – powiedział Uskan.

– Muszę zdobyć informacje o czymś, co nazywa się Złamana Obietnica Kresimira albo Obietnica Kresimira.

Uskan odchylił się na oparcie krzesła i spojrzał w sufit.

– To jakoś brzmi... – powiedział po kilku chwilach. – Mam coś na końcu języka. Ale nie potrafię sobie przy-

pomnieć. Nie każdy ma twoją Zdolność. – Wstał. – Sprawdźmy to.

Wyszli z budynku władz, przeszli do biblioteki. Ktoś pomyślał, aby zamknąć wiekowe drzwi do księgozbioru, jednak Uskan miał przy sobie klucze.

Za przedsionkiem znajdowała się szeroka, otwarta przestrzeń wysokości trzech kondygnacji. Wydawało się, że wszędzie wokół są schody i drabiny, a stoły do lektury ktoś porozmieszczał przypadkowo na skraju regałów albo pod oknami.

– Mam nadzieję, że wiesz, gdzie zacząć te poszukiwania – powiedział Adamat. Zupełnie zapomniał, jak wielka jest ta biblioteka, nie zaglądał tu od dekady. – W przeciwnym wypadku spędzimy tu cały dzień.

Uskan pewnym krokiem skierował się na prawo i do najbliższych schodów.

– Chyba wiem – uspokoił detektywa. – Chociaż to może chwilę potrwać. Ostatnio znacznie powiększyliśmy nasz księgozbiór, a ja nie miałem tyle czasu na lekturę, ile bym chciał. Ale nie będę się przecież skarżył, że biblioteka ma nowe książki. Przemysł wydawniczy rozkwita, ale książki w dalszym ciągu są drogą. – Zerknęła na Adamata. – Dopiero parowa maszyna drukarska mogłaby to zmienić.

Adamat przewrócił oczyma. Przyjaciel miał jak najlepsze intencje, ale mówił tak, jak gdyby wybuch stanowiął tylko winę detektywa.

Uskan odliczył rzędy półek i niezwłocznie skierował się do właściwej. Chwycił wysuwaną drabinę i pchnął w górę, w poprzek stojącego przed nim regału. Głos naukowca odbijał się echem w pustej przestrzeni ponad zbiorami książek.

– Zazwyczaj to Uniwersytet Jilemański dostaje wszelkie dotacje na zakup książek. Archiwum Publiczne w Adopeście ma kolekcję dwa razy większą od naszej. Dlaczego tam najpierw nie poszedłeś?

Adamat przestał wędrować palcami po skórzanych grzbietach ksiąg. Lubił biblioteki. Były suche, pełne kurzu i pachniały papierem, co detektywowi kojarzyło się z wiedzą. A wiedza stanowiła dlań sprawę najważniejszą.

– Bo centrum miasta to teraz jeden wielki zwierzyniec. Egzekucje, pamiętasz?

Uskan odwrócił się do niego i zamrugał.

– Och, racja. – Powrócił do przesuwania drabiny. – Jeżeli tutaj nam się nie poszczęści, przejdź się do Archiwum. Jest całkiem nieźle urządzone. Mają tam paru bardzo uzdolnionych bibliotekarzy. Odsyłacze „teologia” i „historia”... A przynajmniej od tego zamierzam rozpocząć poszukiwania. – Uskan wreszcie wspiął się po drabinie. Ciężkie żelazo szczebli zagrzechotało pod jego ciężarem, więc Adamat wyciągnął rękę i je przytrzymał.

– Staram się w ogóle nie odnosić do teologii.

Na wysokości dziesięciu stóp Uskan zaśmiał się niewesoło.

– A kto to dzisiaj robi? – Umilkł na chwilę. – Hm, to dziwne.

– Co?

Drabina zagrzechotała i uczoney znalazł się obok Adamata.

– Brakuje tych książek. Ktoś je musiał wypożyczyć. Tylko wykładowcom wolno wynosić książki z biblioteki, a nasz wydział teologii jest akurat w rozsypce. Składa się z trzech braci, którzy pół roku spędzają na urlopie naukowym w cieplejszych krajach. Dzisiaj już mało



kto studiuje teologię. Teraz wszystko kręci się wokół matematyki oraz innych nauk ścisłych i przyrodniczych. Na Kresimira, od kiedy zacząłem tutaj pracować, nasze wydziały fizyki i chemii powiększyły się czterokrotnie. – Zerknął w górę drabiny, ku pustym miejscom na półce. – Doskonale pamiętam... Nieważne, poszukajmy gdzie indziej.

Adamat ruszył za przyjacielem na trzecią kondygnację. Jednak książki, których Uskan szukał, również zniknęły, tak jak i z kolejnych dwóch miejsc.

– Ktoś musi pracować nad dysertacją z teologii. – Uskan oparł się o półkę i otarł czoło. – Ci cholerni studenci teologii zawsze zabierają książki. Niewielu ich teraz mamy, ale jak już są, to im się wydaje, że to miejsce jest ich własnością, bo ich dziadkowie dali jakiś grant czy inne wsparcie.

Adamat nie był pewien, ile może wyjawić staremu przyjacielowi. Pytanie o samą Obietnicę nie niosło ze sobą zbyt wielkiego zagrożenia, jednak detektyw wolał, by o naturze jego śledztwa wiedziało jak najmniej osób. Nie było sensu ryzykować piętna zdrajcy, skoro Tamas jeszcze oficjalnie nie przejął władzy.

– Masz może jakieś książki z czasów Pomrocza? Słyszałem, że z tamtej epoki pochodzi sporo pism traktujących o Kresimirze.

– Gdzie to słyszałeś?

– Czytałem w gazecie, wczesną wiosną, trzy lata temu.

– Pfff, w gazetach wydrukują każdą bzdurę. Z pewnością były to czasy wyjątkowo religijne, ale ponure i ciemne, jeśli chodzi o naukę. Kresimir i jego bracia zniknęli. Nowe monarchie uwikłane były w konflikt z Predei, starożytną kastą potężnych Uprzywilejowa-

nych. W ogóle niewiele przetrwało z tamtych czasów. Kanclerz powiedział mi kiedyś, że gdybyśmy mieli połowę tej wiedzy na temat magii i nauk ścisłych, jaką mieliśmy w czasach Kresimira, a z czego większość przypadła bezpowrotnie w epoce Pomrocza, to żylibyśmy teraz w złotym wieku, zarówno szlachta, jak i prosty lud.

– No cóż, sprawdźmy może pod „teologią”, „historią” i „czarami”.

– Jeszcze z ciebie zrobię bibliotekarza – stwierdził Uskan.

– Co wiesz na temat czarów? – zainteresował się Adamat.

– Filozofia czarów to takie moje hobby, chociaż sam nie mam w tym kierunku żadnych zdolności. Dziadek był Uprzywilejowanym. Dokładniej uzdrowicielem.

Uskan umilkł na chwilę i spojrzał na Adamata wychekując.

– Tak? – zapytał detektyw.

Uskan zmarszczył brwi.

– Uzdrowicielem. To najrzadsi z Uprzywilejowanych. Wiedzą o tym nawet dzieci w szkole. Mówi się, że ciało ludzkie jest tak bardzo złożone, że tylko jeden na stu Uprzywilejowanych ma zdolności uzdrawiania wyższe od podstawowych.

– Czyli że rzadko.

– Adamacie, bardzo rzadko. Na Kresimira, z twoim przywiązaniem do szczegółów można byłoby się spodziewać, że wiesz takie rzeczy. Czy ty w ogóle się nie znasz na czarach?

– Nie bardzo – przyznał Adamat. Jego świat sprowadzał się do ulic miasta, obywateli tego miasta i kryminalistów działających w mieście. Nie miał czasu na czary i szczerze mówiąc, były mu obce. Od czasu do czasu na-

tykał się na jakąś dziwną Zdolność, ale silniejsza magia stanowiła właściwie dziedzinę kamaryli, a inspektorowi jakoś nie było z nimi po drodze. Cała jego wiedza brała się z tych kilku godzin lekcji, które pobrał jako chłopiec.

– Jesteś Zdolnym – zauważył Uskan. – To znaczy, że masz trzecie oko, prawda?

– Tak, ale nie wiem, co to może mieć wspólnego z...

– Czyli kiedy je otworzysz, dostrzegasz aury wszelkich rzeczy i możesz spojrzeć w to, co Uprzywilejowani nazywają Nieświatem?

Ostatnimi czasy Adamat rzadko otwierał trzecie oko. W najlepszym wypadku towarzyszyło temu nieprzyjemne uczucie, jednak pamiętał blask, który wtedy otaczał wszystko, jak gdyby świat malowano żywymi pastelami.

– Tak.

– Uprzywilejowani manipulują Nieświatem – powiedział Uskan. – Każdy z palców Uprzywilejowanego związany jest z jednym z żywiołów: ogniem, ziemią, wodą, powietrzem oraz eterem.

– Ale ogień nie jest żywiołem – zauważył Adamat. – To efekt procesu spalania.

Uskan pociągnął nosem.

– Trochę cierpliwości. W świetle odkryć z ostatnich stu lat powyższa definicja, owszem, została uznana za niedoskonałą, jednak jest najlepszą, jaką mamy. Każdy palec odpowiada jednemu z żywiołów i temu, jak silny jest Uprzywilejowany w danej materii, przy czym kciuk wskazuje zawsze żywioł najsilniejszy. Uprzywilejowany używa swojej wiodącej ręki, najczęściej prawej, aby wzywać aurę tego, czym chce manipulować w Nieświecie. Potem używa drugiej ręki, żeby kierować tymi aurami, kiedy już zostaną ściągnięte do naszego świata.

– A jak w takim razie działa magia prochu?

– Nie mam zielonego pojęcia. Uprzywilejowani nie-nawidzą prochowych magów, a kamaryla od zawsze utrudniała badania w tej dziedzinie.

– Skąd taka nienawiść? – Adamat słyszał, że większość Uprzywilejowanych jest wręcz uczulona na proch.

– Ze strachu – powiedział Uskan. – Większość czarów Uprzywilejowanych ma zasięg poniżej pół mili. Prochowi magowie mogą strzelać z dwukrotnie większej odległości. Kamaryla nie znosiła pozostawać na słabszej pozycji. Słyszałem także, że chociaż wszystkie rzeczy, żywe, umarłe albo związane z żywiołami, mają w Nieświecie swoje aury, to proch strzelniczy jej nie ma, co bardzo de-nerwuje Uprzywilejowanych. Aha, jesteśmy na miejscu.

Uskan zatrzymał się przed regałem z książkami. Przesunął palcami po kilku okładkach, wyjął tomy i ułożył w stos na rękach Adamata, zarazem spowijając de-tektywa obłokiem kurzu, jaki wzbił się z kart.

– Brakuje tylko jednej – powiedział Uskan. – Wiem, gdzie jest. W gabinecie kanclerza.

– Możemy ją zabrać?

– Kanclerza nie ma, wcześniej rano wezwano go do Adopestu w jakiejś pilnej sprawie. Nie mam klucza do jego gabinetu. Musimy poczekać, aż wróci.

Usiedli przy jednym ze stołów i zaczęli przeglądać wybrane książki. Adamat otworzył pierwszą. Skrzywił się.

– Uskanie?

– Hmm? – Uskan spojrział w stronę przyjaciela. Zerwał się na równe nogi i okrążył stół. Adamat jeszcze nie widział, by uczoney poruszał się tak szybko. – Co to jest?! Kto to zrobił, do otchłani?!

Pierwszych kilka stron książki zostało wyrwanych, a na tuzinach innych zamazano całe akapity tekstu, jak

gdyby ktoś umoczył palce w tuszu i mazał nimi po kartach.

– Te księgi są bezcenne! – Uskan otarł czoło chusteczką i zaczął przechadzać się nerwowo za plecami Adamata. – Kto mógłby zrobić coś takiego?!

Adamat pochylił się i zmrużywszy oczy, studiował uważnie miejsce po wyrwanych stronach. Księga została spisana na pergaminie, grubszym niż współczesny papier i cztery razy mocniejszym. Krawędź oderwanej strony była nieco poczerniała.

– Jakiś Uprzywilejowany – stwierdził Adamat.

– Skąd wiesz?!

Adamat zaprezentował nierówny brzeg, jaki pozostał po wydartych kartach.

– Czy znasz coś poza czarami, co mogłoby tak przypalić pergamin, nie niszcząc reszty książki?

Uskan znów zaczął chodzić w tę i w tę.

– Jakiś Uprzywilejowany! A niech ich Kresimir pokarze! Powinni znać wartość ksiąg!

– Myślę, że znają – zauważył Adamat. – Inaczej wszystko by spalili. Sprawdźmy pozostałe księgi. – Sięgnął po kolejny tom, a potem jeszcze jeden. Siedem z jedenastu ksiąg, które zdjęli z półek, miało zamazane akapity albo powyrywane strony. Gdy skończyli je przeglądać, Uskan aż kipiał ze złości.

– Czekaj, aż się o tym dowie kanclerz! Pójdzie prosto do pałacu i zrobi z tych Uprzywilejowanych marmoladę, on...

– Tamas stracił wszystkich członków kamaryli.

Uskan zamarł. Jego nozdrza nadal jeszcze się rozdymały, usta wykrzywił grymas wściekłości.

– To znaczy, jak sędzę, że nie otrzymamy za to odszkodowania.

Adamat pokręcił przecząco głową.

– Zobaczmy, co tutaj mamy.

Przeglądali księgi jeszcze przez jakiś czas i znaleźli osiem różnych miejsc, w których zamazany tekst mógł zawierać jakieś odniesienia do Obietnicy Kresimira. Akapitów nie dało się jednak odczytać.

– Ostatnia księga – powiedział Adamat. – Ta w gabinecie kanclerza...?

– Tak. – Uskan zamyślony drapał się po głowie. – „W służbie Króla”. Określa obowiązki królewskich kamaryli w zakresie ochrony królów Dziewięciu. Bardzo znana praca.

Adamat wygładził przód płaszcza.

– Zobaczmy, czy zostawił otwarte drzwi.

Uskan odłożył księgi na miejsce i pogonił za Adamatem na dziedziniec biblioteki.

– Na pewno są zamknięte – zaręczył bibliotekarz. – Poczekajmy lepiej, aż wróci. Kanclerz dba o swoją prywatność.

– Prowadzę śledztwo – stwierdził Adamat, ponownie wchodząc do głównego budynku administracji.

– To nie znaczy, że masz prawo przeszukiwać cudze gabinety! Poza tym drzwi będą zamknięte.

Uśmiechnął się triumfalnie, kiedy Adamat bezskutecznie nacisnął klamkę.

– Nic nie szkodzi. – Detektyw przykucnęła i wydobyła mały zestaw wytrychów, noszony w bucie.

– Co?! – Uskan patrzył na to oczyma wielkimi jak spodki. – Nie, nie możesz tego zrobić!

– Jak myślisz, kiedy wróci kanclerz?

– Dopiero wieczorem. Ja... – Uskan uświadomił sobie swój błąd, gdy Adamat zaczął gmerać wytrychem w zamku. Westchnął ciężko, oparł się o ścianę. – Powi-

nieniem odpowiedzieć, że może wrócić w każdej chwili – mruknął.

– Jesteś fatalnym kłamcą – stwierdził Adamat.

– Tak, to prawda. I nie będę umiał skłamać kanclerzowi, kiedy zapyta, czy ktoś był u niego w gabinecie.

– Daj spokój. Nie dowie się.

– Oczywiście, że się dowie, jak możesz...

Zamek kliknął i detektyw delikatnie uchylił drzwi. Gabinet kanclerza wyglądał dokładnie tak, jak się tego Adamat spodziewał. Wszędzie leżały księgi i dokumenty. Talerze z resztkami posiłków można było znaleźć na krzesłach, stołach, nawet na podłodze. Pod wszystkimi ścianami stały regały z książkami, wysokością dwukrotnie przewyższające dorosłego mężczyznę, zapchane do granic wytrzymałości, ich półki uginały się pod zbyt wieloma foliałami, ryzykownie ułożonymi jedne na drugich.

– Niczego nie ruszaj – naciskał Uskan. – On dokładnie wie, gdzie zostawił każdą rzecz. Zorientuje się, jeśli... – Umilkł pod spojrzeniem Adamata. – Pozwól, że ja poszukam tej książki – oznajmił ponuro.

Detektyw posłusznie zatrzymał się na skraju papierowo-atramentowej dżungli, którą stanowił gabinet kanclerza, zaś Uskan szukał brakującej księgi z naturalnym wdziękiem sekretarza. Papiery były podnoszone, talerze i książki przesuwane, jednak wszystko wracało dokładnie na swoje miejsce.

Adamat stał na palcach i uważnym spojrzeniem lustrował pokój.

– Czy to ta? – zapytał, wskazując na środek biurka kanclerza.

Uskan wystawił głowę spod krzesła.

– Och tak.

Adamat ostrożnie zbliżył się do biurka, delikatnie unióśł książkę i zaczął ją wertować. Uskan stanął obok niego.

– Nie ma uszkodzonych kartek – oznajmił Adamat. Przeglądał pobieżnie strony, szukając wiadomych dwóch słów. Znalazł je na samym końcu, w posłowniu na ostatniej stronie. – „A oni strzec będą Obietnicy Kresimira własnym życiem, albowiem jeśli zostanie złamana, wszystkich Dziewięć może szczeznąć” – przeczytał głośno. Sprawdził jeszcze raz treść na stronie i na dwóch kolejnych. Nie znalazł żadnych innych odniesień. – To nie ma sensu – stwierdził, wpatrując się w kartki ponurym wzrokiem.

Uskan dźgnął palcem środek książki.

– Co?

– Znowu brakuje stron – wyjaśnił uczony. – Połowy posłownia. – Głos drżał mu z wściekłości.

Adamat przyjrzał się bliżej. Strony starannie usunięto z księgi. Ta księga została złożona innym sposobem niż pozostałe i trudno było w ogóle zauważyć, że zniknęły jakieś strony. Westchnął.

– Gdzie mogę znaleźć inny egzemplarz tej książki?

Uskan pokręcił głową.

– Może w Archiwum Publicznym. Sądzę, że egzemplarz może mieć także uniwersytet w Nopeth.

– Nie spędzę ponad połowy miesiąca w powozie po to, by „może” znaleźć książkę w Nopeth – sarknął Adamat. Zatrzasnął wolumin i odłożył go na biurko kancle-rza. – Sprawdź w Archiwum Publicznym.

– Ale przecież zamieszki... – zaprotestował Uskan, kiedy Adamat ruszył do drzwi.

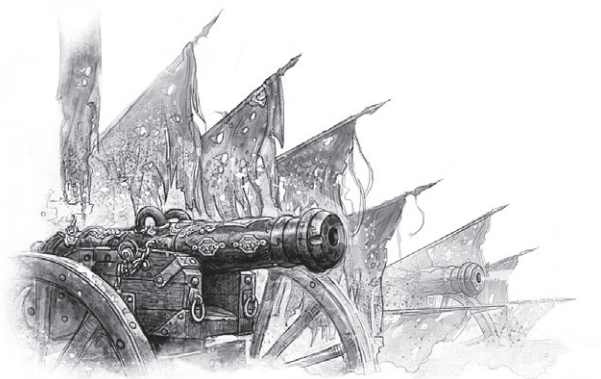
Detektyw się zatrzymał.



– Archiwum zamknęli – argumentował dalej Uskan. – Znajdują się tam spisy podatkowe, dzieje rodów, nawet zamknięte depozyty. Na pewno postawili tam strażę, Adamacie.

To akurat stanowiłoby problem jedynie wtedy, gdyby go złapano.

– Dziękuję za pomoc – powiedział detektyw. – Daj mi znać, jeśli coś jeszcze znajdziesz.



## 7

### ROZDZIAŁ

Taniel obserwował tłum, posuwający się nieustannie w dół ulicy, i zastanawiał się, czy owi ludzie mogliby stanowić dla niego poważny kłopot.

Miasto ogarnął chaos. Budynki płonęły, ulice tarasowały przewracane wozy, na każdym kroku można było natknąć się na ciała tych, którzy padli ofiarą rabusiów, albo i na co gorszego. Wydawało się, że wiatr nigdy nie rozwieje dymu, który zawisł nad miastem.

Taniel przerzucał kartki szkicownika. Notes otworzył się na portrecie Vlory. Chłopak patrzył na rysunek przez chwilę, a potem złapał grzbiet kajetu i wydarł stronę. Zmiał, cisnął na ulicę. Spojrzał na poszarpaną krawędź w zeszycie i od razu pożałował, że go zniszczył. Nie miał pieniędzy na nowy szkicownik. Sprzedał wszystko, co miał cennego, żeby w Fatraście kupić pierścionek z brylantem. Ten przeklęty pierścionek, który później zawisł przyszpilony do fircyka w Jilemanie. Taniel wciąż jeszcze miał przed oczyma krew tryskającą

tamtemu z ramienia, pamiętał szkarłat kapiący z pierścienia, gdy wsuwał klejnot na szpadę rywala, zanim wbił ostrze w jego ciało.

A trzeba było zatrzymać pierścionek. Teraz mógłby go zastawić w lombardzie. Z wysiłkiem przełknął ślinę. Żałował, że odchodząc, nie powiedział czegoś – czegokolwiek – Vlorze, która stała w drzwiach sypialni, przyciskając prześcieradło do piersi.

Sprawdził godzinę na zegarze na pobliskiej wieży. Jeszcze cztery godziny, zanim żołnierze ojca zaczną przywracać porządek. Jeżeli na ulicach po północy zostanie jakiś motłoch, będzie miał do czynienia z ludźmi marszałka polnego Tamasa. Żołnierzom nie będzie łatwo uporać się z tłumem. Ostatnimi czasy w Adopeście nie brakowało zrozpaczonych ludzi.

– Co myślisz o tych najemnikach? – zapytał Taniel. Podniósł zmięty portret Vlory i rozprostował na udzie, nim na powrót wetknął go do szkicownika.

Ka-poel wzruszyła ramionami. Przyglądała się tłumowi, który zbliżał się do nich nieuchronnie. Na jego czele siedł jakiś rosły mężczyzna, farmer w znoszonym, starym kombinezonie, w dłoni ścisnął zaimprovizowaną pałkę. Zapewne przeprowadził się do miasta, żeby pracować w fabryce, ale nie mógł wstąpić do związku zawodowego. Ujrzał Taniela i Ka-poel stojących w drzwiach zamkniętego sklepu i odwrócił się w ich stronę, unosząc broń. Szykował się zwiększyć liczbę ofiar.

Taniel przesunął palcem po krawędzi skórzanej kurtki i dotknął rękojeści pistoletu na biodrze.

– Przyjacielu, wcale nie chcesz kłopotów – powiedział. Dłonie Ka-poel zacisnęły się w małe pięstki.

Wzrok farmera zawadził o srebrną beczułkę prochu na piersi Taniela. Mężczyzna opuścił rękę z pałką i po-

wiedział coś do kompana z tyłu. Obaj szybko skierowali się w inną stronę. Reszta podążyła za nimi, rzucali Tanielowi ponure spojrzenia, ale nikt nie odważył się zadzierać z prochowym magiem.

Chłopak odetchnął z ulgą.

– Tej dwójki wynajętych zbirów coś długo nie ma.

Julene, Uprzywilejowana najemniczka, oraz Gothen, pogromca magów, podążyli śladem Uprzywilejowanej z pałacu już niemal godzinę temu. Jest blisko, twierdzili, wysledzą ją, a potem wrócą do Taniela i Ka-poel. Tymczasem Taniel zaczynał podejrzewać, że para najemników zdezerterowała.

Ka-poel dźgnęła się kciukiem w pierś, a potem osłoniła oczy, wystawiając głowę tak, jak gdyby czegoś wypatrywała.

– Tak, wiem, że możesz ją znaleźć. – Taniel skinął głową. – Ale pozwolę tamtym poczynić przygotowania. I tak nadają się tylko do...

Głowa Taniela uderzyła o kamienną ścianę budynku za jego plecami, w uszach zadudniło mu od nagłej eksplozji. Ka-poel wpadła na niego z impetem, zdołał ją chwycić, nim upadła. Pomógł dziewczynie stanąć pewnie, potrząsnął głową, żeby pozbyć się dzwonięcia w uszach.

Był kiedyś pół mili od składu amunicji, w którym zapalił się proch. To przypominało ową eksplozję, tyle że tym razem zmysły Naznaczonego podpowiadały mu, iż przyczyną wybuchu nie jest proch, a czary.

W niebo wytrysnął strumień ognia, niecałe dwie przecznice od nich, i zgasł równie szybko, jak się pojawił. Taniel usłyszał krzyki. Spojrzał na Ka-poel. Oczy miała szeroko otwarte ze zdumienia, ale wydawało się, że nic jej nie jest.

– Dalej – rzucił już w biegu.

Pędem minął ludzi porzrzucanych na bruku jak dziecięce zabawki, następnie skręcił za róg, kierując się do miejsca eksplozji. W tym samym momencie wpadł na kogoś i stracił równowagę. Upadł, ale zerwał się niemal w tej samej chwili. Ledwie zerknął na osobę, z którą się zderzył.

Biegł już znowu, kiedy uświadomił sobie, kogo zobaczył: starszą kobietę o siwych włosach, w prostej, brązowej kurtce i rękawicach Uprzywilejowanej.

Taniel obrócił się w miejscu, wyciągając pistolet.

– Stój! – krzyknął.

Ka-poel wypadła zza rogu, prosto na linię strzału. Opuścił pistolet i pobiegł w stronę towarzyszki. Nad szczupłym ramieniem dziewczyny widział, jak Uprzywilejowana się odwraca. Jej palce zatańczyły, a Taniel poczuł żar płomieni, kiedy Uprzywilejowana dotknęła Nieświata.

Złapał Ka-poel i padł na ziemię. Ogniste kule wielkości pięści przemknęły mu tuż przy twarzy, na tyle gorące, by osmalić włosy. Uniósł pistolet i wycelował. Poczuł, jak ogarnia go spokój prochowego transu. Nacisnął spust.

Pocisk trafiłby kobietę w samo serce, gdyby akurat się nie potknęła. Zamiast tego uderzył w jej ramię. Szarpnęło nią, warknęła na Taniela, obnażając zęby.

Prochowy mag rozejrzył się szybko. Potrzebował schronienia, gdzie mógłby przeładować broń. Stary ceglany magazyn, odległy o dwadzieścia kroków, wydawał się odpowiedni.

– Pora ruszać. – Szarpnięciem podniósł Ka-poel na nogi i pobiegł w stronę magazynu.

Kątem oka spostrzegł, że palce Uprzywilejowanej zatańczyły. Oglądanie Uprzywilejowanej dotykającej Nie-

świata byłoby bez wątpienia fascynujące – gdyby ta nie starała się właśnie zabić Taniela. Uzdolniony Uprzywilejowany mógł cisnąć ognistą kulą albo przywołać błyskawice.

Ziemia zadrżała pod stopami Taniela i Ka-poel. Dotarli do magazynu, lecz w tej samej chwili budynek zadgotął. Taniel niemalże czuł moc wzbierającą, by rozdrzeć gmach na strzępy, a ich samych pogrzebać pod gruzami, i krzyk wyrwał mu się z gardła.

Budynek zatrzeszczał, drgnął gwałtownie, lecz się nie rozpadł. Z pęknięć, które nagle pojawiły się w zaprawie, poszedł dym. Rozległo się donośne „łup” i wszystko znieruchomiało. Żyli. Coś powstrzymało czary Uprzywilejowanej. Taniel zerknął na Ka-poel. Z drzeniem wypuścił powietrze.

– To ty?

Ze spojrzenia Ka-poel nie dało się nic wyczytać. Wskazała coś palcem.

– Za nią. Teraz. Chodź.

Wyskoczył na ulicę. Zatrzymał się na widok biegnących Julene i Gothena.

Najemniczka wyglądała tak, jak gdyby baryłka prochu eksplodowała jej prosto w twarz. Włosy miała przypalone, ubranie okopcone. Nawet Gothen miał dziki wzrok i czarne ślady na koszuli, a przecież magia nie powinna go nawet tknąć. Szpada w jego dłoni straciła chyba stopę ostrza.

– Co wy, do otchłani, wyprawiacie?! – zawołał Taniel. – Mieliście po mnie wrócić, zanim wyruszyście w pościg!

– Nie potrzebujemy, żeby jakiś cholerny Naznaczony plątał nam się pod nogami. – Julene poparła swoje słowa wulgarnym gestem.

– Ona w ogóle nie powinna wiedzieć, że tutaj jesteśmy – bronił się Gothen zakłopotany. – A jednak wiedziała.

– I to jej dzieło? – Taniel wskazał złamane ostrze. Gothen zmarszczył brwi.

– Do otchłani z tym! – Cisnął resztą szpady na ziemię.

– Jeszcze chwilę pogadamy, to ją zgubimy – zreflektował się Taniel. – Julene, spróbuj zająć ją z boku, a ja...

– Nie będziesz mi rozkazywał. – Uprzywilejowana pochyliła się do przodu. – Chwyć ją prosto za gardło. – Podciągnęła rękawice i pobiegła ulicą.

– Cholera! – Taniel klepnął Gothena po ramieniu. – No to ty ze mną.

Ruszyli w boczną uliczkę, a potem skręcili w pierwszą większą przecznicę, biegnąc równolegle do Julene.

– Co się stało, u licha? – zapytał Taniel.

– Znaleźliśmy ją w sklepie astronoma – wyjaśnił Gothen między jednym łapczywym oddechem a drugim, biegł jednak nadal, podzwaniając bronią i oprzyrządowaniem. – Okrążyliśmy to miejsce, sprawdziliśmy wszystkie wyjścia i zastawiliśmy pułapkę. Szykowaliśmy się, żeby wejść do środka, kiedy nagle cały front gmachu wyleciał w powietrze. Julene ledwie zdołała się osłonić. Nawet ja poczułem żar eksplozji! Coś takiego w ogóle nie powinno się zdarzyć. Powinienem być w stanie zneutralizować każdą aurę z Nieświata. Ani ogień, ani energia nie powinny mnie sięgnąć. A jednak dosięgły.

– Jest potężna.

– Bardzo – potwierdził Gothen.

W wylocie alejki Taniel zobaczył przyspieszającą nagle Julene. Zatrzymał się gwałtownie, gestem nakazując Gothenowi zrobić to samo. Odetchnął głęboko. Coś było nie tak. Odwrócił się.

– Ka-poel?

Dziewczyna zatrzymała się. Położyła palec na ustach, oczy miała na wpół zamknięte. Wskazała w głąb uliczki.

Taniel, wciąż bez słowa, kazał Gothenowi iść przodem. Pogromca powinien unieszkodliwić wszelkie pułapki i powstrzymać miotaną w nich magię. Taniel uniósł pistolet, celując tuż ponad ramieniem Gothena. Alejkę wypełniały śmieci: odpadki, błoto i gówno, do tego kilka przegniłych beczulek. Nie było gdzie się tu schować. A południowe słońce zalewało wszystko jasnym światłem.

– Tutaj! – Gothen skoczył do przodu. Taniel dostrzegł jakiś ruch w alei przed nimi. Zamrugał, chcąc widzieć wyraźniej. Wydawało się, że światło załamywało się samo, tworząc niby-cień, który mógł skryć człowieka.

I wtedy Uprzywilejowana się pojawiła. Jej dłonie drgnęły, uniosła je w stronę Gothena. Pogromca magów przygotował się na atak.

Powietrze zamigotało, rozpalone żarem formowanego czaru. Gothen wrzasnął, na szyi wystąpiły mu żyły. Taniel strzelił.

Pocisk odbił się rykoszetem od skóry Uprzywilejowanej i przepadł gdzieś w alejce. Czarodziejka wyrzuciła dłonie przed siebie. Gothen zatoczył się i upadł.

W ceglana ścianę budynku wmurowano uchwyty prowadzące na dach. Uprzywilejowana wspięła się po nich ze sprawnością młódki. Zanim Taniel zdołał przeładować pistolet, była już na szczycie budynku, dwie kondygnacje wyżej. Wciągnął szczyptę prochu i ruszył jej śladem.

– Nie zgubcie jej! – zawołał do Gothena. Ka-poel pojechała do głównej ulicy, by śledzić, dokąd kieruje się Uprzywilejowana.



Taniel dotarł na górę, wskoczył na dach. Uprzywilejowana dała susa na sąsiedni budynek, odwróciła się i cisnęła w prześladowcę kulą ognistą. Taniel, niesiony prochowym transem, był w stanie ZOBACZYĆ aury jej czarów, WYCZUĆ, jaką drogę obierze ognista kula. Uchylił się i przetoczył, a potem z powrotem stanął na nogi. Uciekała, ślizgając się po glinianych dachówkach, które klekotały pod jej stopami.

Taniel bez trudu przeskoczył na kolejny budynek. Na chwilę zniknęła mu z oczu za stromizną dachu, ale zaraz zobaczył ją znowu. Skoczyła na następny dach.

Taniel strzelił.

I ponownie trafił, jednak i tym razem nie upadła. To był pewny strzał, w sam kręgosłup. Powinna zginąć albo co najmniej zważyć się ranna. Tymczasem ledwie się zachwiała.

Wcisnął pistolety w kabury, chwycił przewieszony przez plecy karabin. Nasadził bagnet. Dostanie ją, nie tym sposobem, to innym.

Prochowy mag w pełnym transie potrafił prześcignąć konia. Przeskoczyli na następny dach, i jeszcze kolejny, i Taniel już deptał jej po piętach. Znowu skoczyła. Tym razem ledwie sięgnęła krawędzi czubkami stóp. Poślizgnęła się i zaczęła spadać, próbując przytrzymać się dachówek.

Taniel wylądował na dachu ze sporym zapasem. Zatrzymał się, łapiąc równowagę, i odwrócił, gotów wrazić Uprzywilejowanej bagnet w oko. Rozwarła palce i runęła na ulicę.

Taniel zaklął. Zawahał się na moment, potem skoczył w ślad za nią. Jednak nawet prochowy trans w swym apogeum nie uchronił go przed bólem kolan. Taniel wylądował obok Uprzywilejowanej na ugiętych nogach.

Ona już zdążyła się podnieść. Zareagował instynktownie, pchając bagnetem. Poczul, że ostrze trafiło w cel.

Pod czarodziejką ugięły się nogi, jej okryta rękawicą dłoń zawisła o stopę zaledwie od twarzy Taniela. Kiedyś Uprzywilejowana musiała być piękna, teraz czas poznał jej twarz zmarszczkami, ułożył z nich wachlarzyki w kącikach oczu. Gwałtownie nabrała powietrza i szarpnięciem wyrwała bagnet z ciała.

– Chłopcze, nie masz pojęcia, co tu się dzieje – szepnęła.

Taniel słyszał szczęk broni biegnącego Gothena. Pogromca zatrzymał się obok maga z pistoletem wycelowanym w Uprzywilejowaną.

Taniel poczuł drzenie ziemi.

– Padnij! – Gothen rzucił się między Taniela a kobietę.

Ulica pękła i uciekła im spod nóg. Uwalniane ciśnienie sprawiło, że całe ciało Taniela zakrzyczało. Czul się, jakby wciśnięto go do lufy armatniej i użyto jako paliwa do eksplozji. Przestał słyszeć, czul oszołomienie. W głowie huczało.

Wszędzie wokół waliły się mury.

Kiedy kurz zaczął rzednąć, Taniel zobaczył, że Gothen w dalszym ciągu stoi nad nim z wykrzywioną twarzą. Po chwili otworzył jedno oko. Jego wargi się poruszyły, jednak Taniel niczego nie słyszał. Cały świat falował. Mag wstał i rozejrzał się, dostrzegł Ka-poel zbliżającą się doń poprzez tuman pyłu. Julene szła zaraz za nią. Budynki po obu stronach Taniela zostały zrównane z ziemią, wilgotne piwnice wypełniły się gruzem, nad nimi unosiły się zasłony z pyłu. Wśród szczątków zobaczył plamy krwi oraz strzępy ciała. W tych kamienicach zginęli ludzie, ich nie osłonił żaden pogromca.

Taniel odetchnął niepewnie.

Julene podeszła prosto do niego i pchnęła, zwalając z miękkich nóg. Ka-poel zasłoniła go natychmiast, wbiła w najemniczkę ponure spojrzenie. Julene cofnęła się o krok. Dopiero po chwili Tanielowi słuch wrócił na tyle, by usłyszeć jej wrzaski.

– ...jej uciec! Dałeś jej uciec! Ty cholerny głupcze!

Wstał i delikatnie odsunął Ka-poel.

Julene natychmiast postąpiła o krok i walnęła go pięścią w twarz. Zareagował odruchowo. Złapał ją za rękę, uniemożliwiając kolejny cios, i spoliczkował.

– Precz ode mnie. – Splunął krwią. – Ona nie żyje. Nie ma mowy, żeby ktokolwiek zdołał to przeżyć.

– Ona żyje. – Policzki Julene pałały czerwienią, jednak najemniczka nie próbowała kontynuować bójki. – Cały czas ją wyczuwam. Uciekła nam.

– Wbiłem jej trzy piędzi stali! Nie dała rady odejść.

– Myślisz, że stal ją zrani? Myślisz, że naprawdę możesz ją zranić? Gównu wiesz.

Taniel najpierw głęboko wciągnął powietrze, żeby się uspokoić, a potem nieco prochu.

– Ka-poel – zapytał – czy ona wciąż żyje?

Ka-poel uniosła w drobnych dłoniach lufę karabinu Taniela i przesunęła opuszkami po krwi plamiącej bagnet. Rozsmarowała ją między palcami. Po chwili twierdząco pokiwała głową.

– Zdołasz ją wytropić?

Ponownie przytaknęła.

– Nawet ja nie mogę jej wytropić! – parsknęła Julene. – Ukryła ślad. Nawet ranna jest znacznie potężniejsza, niż sądzicie. Ta przeklęta dziewczynka nigdy jej nie znajdzie.

– Pole?

Ka-poel prychnęła lekceważąco i odwróciła się tyłem do najemniczki. Pozbierała swoje rzeczy, a potem wskazała pozostałym kierunek.

– No i wiemy już, w którą stronę iść – podsumował Taniel. – Weź się w garść i patrz, jak to robi prawdziwy tropiciel. – Gestem dał pierwszeństwo Ka-poel. – Prowadź.



Taniel osłonił oczy przed deszczem, popatrzył na Julene. Stała nad nim z założonymi rękoma, wyzywający uśmiech zniekształcał bliznę na jej twarzy.

– Minęły dwa dni – powiedziała. – Przyznaj się, że twoja dzikuska nie jest w stanie wytropić tej suki, a my schowamy się przed deszczem i powiemy Tamasowi, że mamy problem.

– Tak łatwo się poddajesz? – Taniel nadal trzymał dłoń w rynsztoku, starając się nie zastanawiać, jaka substancja właśnie prześlizguje mu się między palcami.

Odpływy burzowe zbierały wszystko, od ludzkich odchodów po martwe zwierzęta, a także wszelkie śmieci i błoto z ulic. W trakcie burzy takiej jak ta wszystko spływało do kanałów rozciągających się pod miastem. Ten odpływ coś zatkało, więc Taniel po bark unurzał rękę w deszczówce oraz szlamie, co podobało mu się w równym stopniu, jak ciągle przytyki Julene.

– Wiesz, że Tamas nie zapłaci, dopóki robota nie będzie zrobiona, prawda? – przypomniał jej.

– Znajdziemy ją – zapewniła go butnie Julene. – Tylko nie dzisiaj. Nie w tym deszczu. To ona wywołała burzę. Czuję to. Aury wirują, przyzywane z Nieświata. To

wszystko zaciera jej ślad, ale gdy tylko deszcz przestanie padać, JA wytropię ją znowu.

– Ka-poel ma już trop. – Taniel sięgnął nieco dalej, policzkiem dotknął powierzchni obrzydliwej kałuży. Poczul pod palcami coś twardego, chwycił to i pociągnął.

– Grzebie paznokciami pomiędzy brukowcami i każe ci taplać się w każdym rowie między tym miejscem a... Co to jest, na otchłań?!

Taniel wstał. Kula szarego błota w jego dłoni wyglądała jak szlam odrapany z setki butów. Smród sprawiał, że Tanielowi skręcało żołądek, dlatego trzymał bryłę na odległość wyciągniętej ręki. Cała błotna masa oblepiała długi kawałek drewna. Z mlaszczącym odgłosem kałuża została wessana do odpływu.

– Jak sądzę, to złamana laska – odpowiedział Taniel.

Ka-poel podeszła, aby obejrzeć cuchnący muł. Dźgnęła go palcem, podniosła, obejrzała z daleka, a potem z bardzo bliska. Gwałtownie wetknęła palce w szlam i wyjęła, trzymając coś między opuszkami.

Julene pochyliła się, chcąc obejrzeć znalezisko.

– Co to jest? – Pokręciła głową. – Nic. Głupia dziewczyna.

Taniel obmył rękę w najczystszej kałuży, jaką zdołał znaleźć, potem wziął od Gothena swoją koszulę i kurtkę z koźlej skóry.

– Przydałby ci się bystrzejszy wzrok – zwrócił się do Julene. – To jest włos. Włos Uprzywilejowanej.

– Niemożliwe. Nie da się w całym tym błocie znaleźć pojedynczego włosa. A nawet jeśli to jej włos, co z nim zrobi ta twoja dzikuska?

Taniel wzruszył ramionami.

– Znajdzie ją.

Ka-poel odeszła na bok i otworzyła torbę. Przez kilka chwil robiła coś zwrócona do nich plecami, wreszcie odwróciła się, zarzuciła torbę na ramię i krótko skłoniła głowę. Poklepała się po piersi, a następnie wykonała gest chwytania czegoś.

Taniel uśmiechnął się szeroko, zapinając guziki koszuli.

– Mamy ją.

Zatrzymali dorożkę. Ka-poel siadła obok woźnicy, by pokazywać mu drogę, a Taniel, Julene oraz Gothen wskoczyli do środka. Julene cmoknęła z niesmakiem.

– Śmierdzisz ściekami – skrzywiła się. – Wolę raczej siedzieć na deszczu niż tutaj z tobą. Pojadę na stopniu. – Wyskoczyła z powrotem na zewnątrz. Chwilę później powóz szarpnął i ruszył.

– Ka-poel zdoła wytropić Uprzywilejowaną dzięki pojedynczemu włosowi? – nie dowierzał Gothen. Kola na pogromcy raz po raz stukały w kolana Taniela.

– Z jednym włosiem jest trudno – wyjaśnił Taniel. – Im więcej śladów, tym łatwiej. Krew na moim bagnecie, kawałek paznokcia, rzęsa. Jedna cząstka prowadzi do drugiej. Im są liczniejsze, tym łatwiej złapać trop. Jeśli chcemy podkraść się do niej niepostrzeżenie, musimy precyzyjnie ustalić jej miejsce pobytu.

Taniel otworzył szkicownik i zaczął przerzucać kartki, na chwilę zatrzymał się na portrecie Vlory, a potem przeszedł do na wpół ukończonego rysunku przedstawiającego Uprzywilejowaną. Kreślił z pamięci. On jeden z ich czwórki zdołał się jej dobrze przyjrzeć. Pogromca patrzył na szkic przez kilka chwil. Skończywszy, Taniel zatrzasnął kajet i wsadził z powrotem do kieszeni.

– Jak działa magia Ka-poel? – zapytał Gothen.

– Nie mam pojęcia. Nigdy nie widziałem, jak czaruje. W każdym razie nie tak, jak my to robimy. Żadnego kręcenia palcami, żadnego przyzywania aur żywiołów. – Dawno już zarzucił próby zrozumienia czarów Ka-poel.

Nie minęła minuta, a Gothen odchrząknął. Nie patrzył wprost na Taniela, jednak na twarzy pojawił mu się szelmowski uśmiech.

– Założyłem się z Julene.

Taniel usypał ścieżkę prochu na dłoni.

– O co?

– Julene uważa, że sypiasz z dzikuską. Ja mówię, że nie.

– To raczej nie jest stosowny zakład dla dżentelmena – zauważył Taniel.

– Tutaj wszyscy jesteście żołnierzami. – Gothen uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Jaka stawka?

– Sto krana.

– I to by było na tyle, jeśli chodzi o kobiecą intuicję. Powiedz jej, że jest ci winna stówę.

– Tak właśnie myślałem – stwierdził Gothen. – Mężczyzn znacznie łatwiej przejrzeć w tym temacie niż kobiety. Czasami na nią patrzysz w ten szczególny sposób, ale jest w tym najwyżej odrobina pożądania, to nie jest spojrzenie kochanka.

Taniel rzucił pogromcy magów spojrzenie spode łba i poprawił się na siedzeniu. Nie bardzo wiedział, jak na to odpowiedzieć. W oficerskim towarzystwie wyzwałby za takie słowa na pojedynek, ale tutaj... Dobra, tak jak mówił Gothen, obaj byli żołnierzami.

– To przecież jeszcze dziecko – odparł. – Zresztą gdy poznałem Ka-poel, byłem zaręczony z inną kobietą.

– A. Gratulacje.

– Zaręczyny zerwane.

– Proszę o wybaczenie. – Gothen uciekł spojrzeniem w bok.

Taniel usypał kolejną kreskę prochu. Machnął tabakierką w lekceważącym geście.

– Nie ma za co, to błahostka.

Wciągnął proch i odetchnął, a potem oparł głowę o ścianę dorożki. Wsłuchiwał się w stukot kropel deszczu uderzających o dach, w turkot kopyt oraz turkot kół na bruku. Tyle dźwięków, że mogły zagłuszyć myśli.

Zastanawiał się, gdzie teraz jest Vlorą? Może właśnie przybywa do Adopestu. Może zdążyła już wyjechać, otrzymawszy rozkazy Tamasa. Od chwili gdy przyszpilił tamtego fircyka do ściany niczym motyla, wciąż dręczyło go jedno pytanie. Co poszło nie tak? Popęłił błąd, wyjeżdżając do Fatrasty. Wplątał się w nie swoją wojnę tylko po to, aby zrobić wrażenie na Tamasi. Na zbyt długo pozostawił Vlorę samą. Mężczyzna, z którym poszła do łóżka, był zawodowym uwodzicielem. To nie jej wina.

Zacisnął pięść, wciąż przepełniony gniewem. Czy wściekał się, bo kochał Vlorę? A może dlatego, że inny mężczyzna pohańbił mu kobietę? Czy Vlorą naprawdę była JEGO kobietą? Taniel nie potrafił sobie przypomnieć czasów, kiedy nie planował ożenić się z Vlorą. Tamas pchał ich ku sobie w każdy możliwy sposób. Vlorą była utalentowanym prochowym magiem, więc istniała szansa, że ich dzieci odziedziczą talent. Tamas od lat zachęcał oboje do tego związku. I Vlorą chyba bardziej była przyszłą synową Tamasa niż przyszłą żoną Taniela. Przełknął tę myśl, a wraz z nią satysfakcję, jaką niosło rozczarowanie ojca. Teraz w ogóle nie musiał się żenić. Albo jeśli przyjdzie mu ochota, mógł sam wybrać sobie żonę,



a nie wiązać się z wyznaczoną przez ojca narzeczoną ze stosownym talentem. Może nawet i z Ka-poel. Prychnął śmiechem, ignorując zaciekawione spojrzenie Gothena. Tamasa trafiłby szlag, gdyby Taniel ożenił się z jakąś cudzoziemską dzikuską. Jednak rozbawienie szybko minęło i Taniel zdławił w sobie chęć otwarcia szkieletownika i ponownego spojrzenia na podobiznę Vlory.

– Strasznie ładna część miasta – stwierdził Gothen, wrywając Taniela z zamyślenia. Pogromca magów odsunął zasłonę na tyle, by wyjrzeć. Po chwili dorożka zatrzymała się z szarpnięciem. Taniel otworzył drzwiczki.

Znaleźli się w Dzielnicy Samaliańskiej. Nad miastem wisiał gęsty dym, mieszając się z lekkim deszczem i drażniąc oczy Taniela. Dzielnica pogrążona była w ciszy. Zamieszki zostały zdławione dwa dni wcześniej, ale z majestatycznych posiadłości niewiele pozostało po przejściu rozwścieczonego tłumu. Osypujące się ruiny oraz wypatroszone budynki.

Poza jednym. Dwupiętrowy dom, zbudowany z szarego kamienia na wzór dawnych fortec, łącznie z balustradami i krużgankami. Ściany rezydencji poczerniały od pożarów, które pochłonęły sąsiednie domy, ale sam budynek sprawiał wrażenie nienaruszonego. Nietrudno było zgadnąć dlaczego. Za balustradami kłęczeli żołnierze. Z kamieni brukowych wydartych z ulicy usypano przed głównym wejściem wał, który miał połowę wysokości człowieka. Za nim też kryli się żołnierze, z muszkietami gotowymi do strzału. Obserwowali dorożkę Taniela, nie kryjąc wrogości.

Wyskoczył na ulicę. Julene, już na zewnątrz, zakładała rękawice. Ka-poel zsunęła się z kozła.

– Czyj to dom? – zapytał Taniel woźnicę.

– Generała Westevena. – Mężczyzna potarł podbródek.

Z budynku wymaszerował oddział żołnierzy i skierował się prosto w ich stronę. Taniel nie mógł nie rozpoznać wysokich, ozdobionych piórami czap czy szaro-białych mundurów gwardii królewskiej. A podobno wszyscy Hielmeni polegli. Generał Westeven miał prawie osiemdziesiąt lat, był zdecydowanie sędziwy, chociaż mówiono, że wciąż bystry i czujny. Ze wszystkich adrańskich dowódców jedynie Westeven wedle opinii ogółu mógł równać się z Tamasem.

– Czy generał jest w mieście? – chciał wiedzieć Taniel. Marszałek na pewno starałby się z nim rozprawić. Przecież nie mógł pozostawić takich niedokończonych spraw.

– Krążą plotki, że powrócił – odezwał się woźnica. – Podobno spędzał wakacje w Novi. Przerwał je i wrócił wczoraj.

Taniel zerknął na Ka-poel.

– Jesteś pewna, że ona tutaj jest?

Ka-poel przytaknęła.

– Niech to!

Hielmeni zatrzymali się pięć kroków od Taniela. Dowodził nimi kapitan, starszy już mężczyzna o surowej twarzy, o pól dłoni wyższy od prochowego maga. Kiedy dostrzegł baryłkę w klapie Taniela, górna warga uniosła mu się w grymasie odrazy.

– W tym domu przebywa pewna kobieta – zaczął Taniel, dotykając pistoletu. – Uprzywilejowana. Zjawiłem się tutaj, by aresztować ją w imieniu marszałka pełnego Tamasa.

– Chłopcze, tutaj nie uznajemy władzy zdrajców.

– Więc przyznaje pan, że ją chroni?

– Jest gościem generała – odparł kapitan.

Gościem. Hielmeni pod dowództwem generała Westevena, którzy w dodatku mają teraz Uprzywilejowa-

ną? Niebezpieczny grunt. Taniel widział lufy karabinów w oknach na wyższych piętrach i na blankach. Kapitan Hielmenów miał szablę oraz pistolet. Dwóch gwardzistów trzymało długie, smukłe karabiny wyposażone w pojemniki wielkości pięści – strzelby ze zbiornikami powietrza. Broń zaprojektowana tak, by nie poddawała się czarom prochowych magów. Bez wątplenia miało ją też kilku ze strzelców wyborowych ukrytych na wyższych kondygnacjach budynku.

Taniel, Julene i pogromca magów zapewne zdołaly się przebić do wnętrza rezydencji. Ale co innego było mierzyć się z żołnierzami, a co innego z Uprzywilejowaną.

Poczuł, jak Julene dotknęła Nieświata. Uniósł dłoń.

– Nie – powstrzymał ją. – Wycofujemy się.

– Za nic! – parsknęła Julene. – Przepalę się przez tych tu i...

– Gothen – polecił Taniel – okiełznaj ją.

Musieli stąd odejść, ostrzec Tamasa. Jeżeli generał Westeven znalazł się w mieście, raz-dwa sformuje szyki. Zaatakuje szybko, mierząc prosto w serce. Taniel zwilżył językiem wyschnięte wargi.

– Idziemy – rzucił krótko.

– Kapitanie – odezwał się jeden z Hielmenów – to Taniel Dwa Strzały.

Dowódca królewskich gwardzistów zmrużył powieki.

– Ty nigdzie nie idziesz, Dwa Strzały.

– Do powozu – rozkazał Taniel. – Odjeżdżamy! Woźnica!

Żołnierze przyłożyli się do muszkietów. Taniel wskoczył na stopień powozu. Dobył pistoletu, obrócił się i strzelił jednemu z Hielmenów w pierś, zanim jeszcze ten zdołał sam wycelować. Taniel wrzucił broń do po-

wozu przez okno i spojrzął w stronę gwardzistów, sięgając swoimi zmysłami ku ich prochowi. Dwóch miało standardowe muszkiety, kapitan pistolet, a każdy z nich jeszcze zapas prochu.

Bez trudu odnalazł ich prochownice. Dotknął ich myślą, wywołując pojedynczą iskrę.

Wybuch prawie zrzucił go z powozu. Konie zakwicały dziko, ale Taniel trzymał się ze wszystkich sił, gdy przerażone zwierzęta popędziły przed siebie. Spojrzął do tyłu. Kapitana Hielmenów rozerwało dokładnie na pół. Jeden z jego towarzyszy usiłował podnieść się do pozycji siedzącej. Pozostali w krwawych strzępach leżeli na ulicy. Nikt nawet nie próbował strzelać do uciekającej dorożki.

– Mogłabym się przez nich przedrzeć – upierała się Julene.

– I by nas wszystkich pozabijali. Obserwowało nas ze dwa tuziny żołnierzy z powietrznymi strzelbami, nie wspominając już o Uprzywilejowanej wewnątrz domu. Wy dwoje, wysiądźcie. Miejcie oko na budynek. Jeśli Uprzywilejowana stamtąd wyjdzie, idźcie za nią, ale w żadnym wypadku nie próbujcie siłą wdzierać się do środka.

– Dokąd jedziecie? – zapytał Gothen.

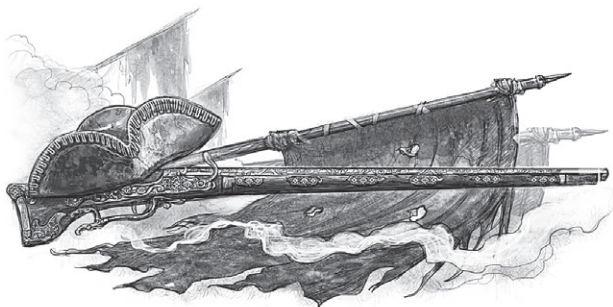
– Ostrzec mojego ojca.

Taniel wspiął się na kozioł obok woźnicy i kazał mu na chwilę zwolnić. Gothen i Julene wyskoczyli i zawrócili. Taniel przez chwilę po cichu liczył, że zlekceważą jego zakaz atakowania rezydencji i będzie miał ich raz na zawsze z głowy. Jednak ten pogromca magów był mu potrzebny.

– Dobrze ci zapłacę – zapewnił woźnicę.

Mężczyzna pokiwał głową, wargi miał zaciśnięte.

– Zabierz nas do Domu Szlachty – polecił mu Taniel. – Tak szybko, jak tylko zdołasz.



## 8

### ROZDZIAŁ

O lemie – odezwał się Tamas – czy wiesz, że napisa-  
no moją biografię?

Ordynans, który stał w pozycji spoczynnej obok drzwi,  
teraz się ożywił.

– Nie, panie.

– Niewielu wie. – Marszałek złożył dłonie tak, że  
stykały się jedynie opuszki palców, i spojrzął na drzwi. –  
Z rozkazu kamaryli wszystkie egzemplarze zostały wy-  
kupione i spalone, w każdym razie większość. Autor,  
lord Samurset, popadł w niełaskę korony i został wy-  
gnany z Adro.

– Kamaryli nie podobała się biografia?

– Ani trochę. Samurset bardzo faworyzował procho-  
wych magów. Twierdził, że stanowią fantastyczną nowo-  
czesną broń, która pewnego dnia całkiem zastąpi Uprzy-  
wilejowanych.

– Niebezpieczna konkluzja.

Tamas przytaknął.

– Jestem na tyle próżny, że ta książka nawet mi się podobała.

– A co napisał?

– Samurset twierdził, że moje małżeństwo uczyniło mnie konserwatystą, a narodziny syna obdarzyły mnie miłosierdziem, zaś śmierć żony wzmocniła obie cechy wraz z obiektywizmem, pozwalającym zrobić z nich użytek. Doszedł do wniosku, że mój awans do rangi marszałka polnego podczas kampanii w Gurli był najlepszym, co przytrafiło się adrańskiej wojskowości w trakcie ostatniego tysiąca lat. – Tamas z lekceważeniem machnął dłonią. – W większości bzdury, ale muszę się do czegoś przyznać.

– Słucham, panie?

– Bywa, iż wcale nie czuję się miłosierny albo sprawiedliwy, a czuję jedynie wściekłość i gniew. Jakbym znowu miał dwadzieścia lat, a rozwiązaniem każdego problemu były pistolety na dwadzieścia kroków. Olem, to jest najniebezpieczniejsze z uczuć, jakie może żywić dowódca. Dlatego gdyby wydawało się, że tracę cierpliwość, proszę, zaraz mnie o tym poinformuj. Bez żadnego krygowania się czy jakiegoś tam uprzejmego pochrząkiwania. Od razu mów wprost. Potrafisz?

– Potrafię – stwierdził Olem.

– Dobrze. To poślij po Vlorę.

Tamas patrzył, jak była narzeczona syna wchodzi bez cienia lęku. Wielu uważało marszałka polnego za zimnego. On sam starał się podtrzymać tę opinię, być może nawet z krzywdą dla syna. Wiedział jednak doskonale, że owo wyrachowanie jedynie kryje niezgorszy temperament, i teraz, po raz pierwszy w życiu, miał ochotę zastrzelić kobietę.

Splótł palce na blacie biurka. Wyraz ust wypośredkował gdzieś między uśmiechem a skrzywieniem.

Vlora była ciemnowłosą piękną o klasycznej figurze, szerokich biodrach, wąskich plecach i drobnych ramionach, które teraz zasłaniał mundur adrańskiego żołnierza. Przyszła na świat jako córka na-barona, który stracił fortunę przez szereg nietrafionych inwestycji. Ostatki rodzinnego majątku pochłonęła kopalnia złota w Fatraście, gdzie żyła kruszcu skończyła się już dwa miesiące po rozpoczęciu eksploatacji. Szlachcic zmarł rok po tej ostatniej porażce. Vlora miała wtedy dziesięć lat. Sabon odnalazł dziewczynę ledwie kilka miesięcy później, w szkole z internatem, gdzie umieścili ją krewni: samotne dziecko o niezwykłym talencie. Umiała podpalać proch nie z odległości kilkunastu kroków jak większość Naznaczonych, lecz aż kilkuset jardów. Tamas ją przygarnął, zapewnił utrzymanie oraz karierę w armii. Co poszło nie tak?

Marszałek przyłapał się na tym, że aby powściągnąć gniew, wpatruje się w punkt nad jej głową.

Stała przed nim na baczność, trzaskając obcasami.

– Prochowy mag Vlora melduje się na rozkaz, sir.

Skrzywił się. Od kiedy skończyła czternaście lat, zwracała się do niego po imieniu. Nikt nawet słowem nie komentował takiej bezczelnej poufałości. Traktowała go jak ojca w większym stopniu niż kiedykolwiek Taniel.

– Siadaj – polecił Tamas.

Posłuchała.

– Sabon przedstawił ci sytuację? – Czuł jej uważne spojrzenie. Sam nadal patrzył ponad głowę dziewczyny.

– Straciliśmy sporo ludzi, panie. Mnóstwo przyjaciół.

– Ciężki cios dla naszej grupy. Potrzebuję teraz magów. Chętnie bym cię pozostawił...

*Na Uniwersytecie Jilemańskim* – dokończył w myślach. Gdzie mogłaby kontynuować studia i dalej zdradzać jego syna. Odchrząknął.

– Potrzebuję cię jednak tutaj.

– Jestem na rozkaz – powiedziała.

– Dobrze – skwitował Tamas. – Zamierzam przydzielić cię do Siedemdziesiątego Piątego Regimentu, na północnym skraju miasta. Trzeba tamten rejon oczyścić z uczestników zamieszek i... – Zawiesił głos, słysząc ciche pukanie do drzwi. Olem odrobinę je uchylił. Wyśluchał meldunku, a potem przez chwilę jeszcze szeptał z kimś po drugiej stronie.

– Tamasie – powiedziała Vlor a nieoczekiwanie – jeśli to możliwe, chciałabym zostać przydzielona tam, gdzie Taniel.

Marszałek musiał mocno ściągnąć cugle swojej wściekłości.

– Panie albo sir, tak należy się do mnie zwracać, żołnierzu – poprawił ją. – I nie, to jest niemożliwe. Miasto trzeba oczyścić, dlatego będziesz przy Siedemdziesiątym Piątym Regimentcie. – Nie zamierzał narażać Taniela na cierpienie. Był oziębły, lecz nie okrutny.

Olem odprawił posłańca.

– Panie – odezwał się.

– O co chodzi?

– Problemy.

– Jakiego rodzaju?

– Chłopcy natknęli się na barykady.

– I?

– Spore, panie, chociaż budowane w pośpiechu. Bardzo dobrze zorganizowane. To nie są zwykli bandyci.

– Gdzie?

– Centestershire.



– To mniej niż milę stąd. Mieli okazję zorientować się, czyje to barykady?

– Tak. – Olem nie wyglądał na zadowolonego. – To rojaliści, panie.

– Prędzej czy później musieli się objawić – stwierdził Tamas. – Cholerni ludzie króla bez króla. Liczebność?

– Nie wiadomo. Wygląda na to, że zebrali się przez noc.

– Jaki obszar kontrolują?

– Tak jak mówiłem, panie, Centestershire.

– Co? Całe centrum miasta?

Olem pokiwał głową.

– A niech to otchłań pochłonie!

Tamas odchylił się na krześle. Jego spojrzenie spoczęło na Vlorze. Wściekłość, jaką wzbudziła w nim zdrada dziewczyny, teraz walczyła o pierwszeństwo z gniewem, jaki czuł na myśl o głupocie ludzi, ryzykujących życie w imię martwego monarchy. Poczuł, że drżą mu ręce.

– Dlaczego? – wyrwało mu się wbrew woli. Od razu się złajał w duchu. Powinien bardziej nad sobą panować. Zmusił się, aby spojrzeć Vlorze w oczy.

*Dlaczego zdradziłaś mojego syna?*

Ujrzał w jej oczach żal. Smutne, samotne dziewczęcę. Patrzył w oczy dziecka, które popełniło straszny błąd. Wezbrała w nim furia. Wstał, przewracając krzesło.

– Panie! – huknął Olem.

– Czego? – wrzasnął Tamas.

– Panie, to nie czas ani miejsce.

Marszałek poczuł, jak zaciskają mu się szczęki. *Kazałem mu siebie powstrzymać.*

Drzwi do gabinetu otworzyły się gwałtownie. Taniel wpadł do środka, z trudem łapiąc oddech po pokona-

niu licznych schodów. Na widok Vlory zatrzymał się jak wryty.

Dziewczyna wstała.

– Tanielu...

– O co chodzi? – Tamas zmusił się, aby mówić spokojnie.

– Generał Westeven sprzymierzył się z Uprzywilejowaną.

– Westeven jest w Novi na wakacjach. Sprawdziłem to przed przewrotem.

– Wczoraj wrócił. Dopiero co byłem przed jego domem. Pilnowały go co najmniej dwa tuziny Hielmenów. Tropiliśmy Uprzywilejowaną aż do tamtego miejsca, jednak nie byliśmy w stanie wtargnąć do środka. Jest jego gościem.

– Musi być poza miastem. Zapewne korzystają z jego domu jako kwatery głównej.

Taniel przeszedł na środek pokoju, zatrzymał się obok Vlory, ale patrzył tylko na ojca.

– Jeśli Westeven jest w mieście, będzie działał szybko. Może uderzyć w każdej chwili.

Tamas odchylił się na krześle i przetrawiał otrzymane wiadomości. Generał Westeven, dawno już emerytowany dowódca Hielmenów, był żywą legendą. Cieszył się szacunkiem zarówno szlachty, jak i pospólstwa. Westeven wygrywał bitwy w niejednym miejscu na świecie. Należał do tych nielicznych wojskowych, tak w kraju, jak i za granicą, których Tamas uważał za równych sobie. I generał całym sercem popierał króla.

Marszałek przysunął do siebie pudło z pojedyńkowymi pistoletami. Zaczął ładować jeden z nich.

– Olem, wyrzuc z tego budynku każdego, kto nie należy do Siódmej Brygady. Kiedy Dom Szlachty zostanie

zabezpieczony, zajmiemy się tymi barykadami. Może to sprawka generała Westevena.

Olem pospiesznie opuścił pokój.

Młodzi ruszyli za Tamasem, na korytarz, a potem w dół schodami. Olem dołączył do nich na pierwszym piętrze. Było tam mnóstwo ludzi – mieszkańców miasta, wieśniaków, ubogich handlarzy. Zdawało się, że pół stolicy zebrało się w korytarzu. Olem musiał się przeciskać, by dotrzeć do Tamasa.

– Panie – odezwał się sierżant – w gmachu jest za dużo ludzi. Oczyszczenie wszystkich pomieszczeń zajmie całe godziny.

Tamas gniewnie zmarszczył czoło.

– Kim są ci ludzie? – Przed nim wiła się kolejka, której końca nie było widać. Chwycił najbliższego człowieka, hutnika, sądząc po grubym kombinezonie z młotem wyszytym na kieszeni. – Czego tutaj szukacie?

Zagadnięty wzdrygnął się lekko.

– Panie, proszę o wybaczenie. Jestem tu, żeby przedyskutować nowe podatki. – Wskazał kolejkę. – Wszyscy jesteśmy.

– Nie wprowadzono żadnych nowych podatków – stwierdził Tamas.

– Za króla!

Obok ucha marszałka huknął strzał, a przebrany hutnik upadł na ziemię, nim zdołał całkiem wyjąć sztylet z pochwy. Vlora natychmiast zaczęła przeładowywać pistolet. Taniel dobył już obu.

W całym holu nagle zapanowało poruszenie. Pofrunęły peleryny i płaszcze, pojawiły się szable, sztylety, pistolety, nawet kilka muszkietów. To, co przed chwilą wydawało się stojącą bez celu kolejką złożoną z mieszczan i pospólstwa, zmieniło się w uzbrojony tłum.

Napastnicy rzucili się na żołnierzy Tamasa z tym samym okrzykiem: „Za króla!”.

Olem zasłonił Tamasa przed większą grupą rojaliistów. Strzelił, a potem dobył szabli i w mgnieniu oka zasiekł trzech.

– Do mnie! Żołnierze Siódmej Brygady, do mnie! – Tamas obnażył własną szpadę.

Tych żołnierzy, którzy dali się zaskoczyć, wycięto. Hol był pełen monarchistów, pułapka się domknęła. Napastnicy nie spodziewali się jednak trójki prochowych magów ani zajadłości, z jaką walczył świetnie wyszkolony Olem.

– Z powrotem na schody! – wrzasnął sierżant. – Na następne piętro!

Wyrąbali sobie drogę do schodów. Rojaliści atakowali grupę, upatrując przewagi w liczebności. Tamas stanął obok Olema, żeby ich powstrzymać, a Vlora i Taniel strzelali z za nich. Klatkę schodową wkrótce wypełnił gęsty prochowy dym. Tamas odetchnął nim z lubością.

Z holu wyłoniły się szaro-białe mundury. Hielmeni – resztki osobistej gwardii Manhoucha. Było ich dwunastu. Mieli najlepsze strzelby powietrzne z nasadzonymi bagnetami. Bez namysłu runęli do szturmu. To nie byli zwykli rojaliści, lecz wyszkoleni zabójcy, groźni nawet dla najlepszych żołnierzy Tamasa. Prędzej zginęliby, niż się zawahali czy cofnęli.

Jednak tylko Hielmeni mieli strzelby powietrzne. Tamas poczuł, że Vlora podpala czyjąś prochownicę. Mężczyzna znajdujący się najbliżej gwardzistów eksplodował, obryzgując wielu z nich krwawym deszczem, a dwóch powalając na podłogę. Marszałek też sięgnął zmysłami, podpalając proch w naładowanym muszkiecie. Nieoczekiwany wystrzał zmasakrował twarz jakiejś kobiecie obok.

Dotarli do schodów na drugie piętro. Hielmeni depali im po piętach. Rozległ się charakterystyczny dźwięk strzelb powietrznych. Ten odgłos mroził krew w żyłach każdego prochowego maga, zapowiadał bowiem kulę dla Naznaczonego.

Vlora potknęła się na schodach, upadła. Taniel, który znajdował się wyżej, skoczył do niej natychmiast. Płynnym ruchem nasadził tuleję bagnetu na lufę karabinu i z cichym warknięciem stawił czoła szarzy Hielmenów. Ciął w szyję jednego z gwardzistów szybkim, wprawnym ruchem wyćwiczonego rzeźnika. Uchylił się, unikając pchnięcia, po czym zwarł z kolejnym żołnierzem. Mężczyzna był wyższy od niego o jakąś dłoń, a cięższy o co najmniej trzy kamienie. Taniel z taką siłą uderzył gwardzistę kolbą od dołu, że wgniółł tamtemu nos do mózgu. Hielmen upadł, nie wydając nawet dźwięku. Może i Taniel był prochowym magiem, ale umiejętności brutalnej walki wręcz miał opanowane niczym piechociarz.

Gwałtownie odwrócił się w stronę czterech pozostałych Hielmenów.

– Taniel! – szczechnął Tamas. – Cofnij się!

Pochwycił Vlorę na rękę – dzięki prochowemu transowi była dlań lekka jak piórko. Dziewczyna zacisnęła zęby z bólu.

– Trafiło w kość? – zapytał.

Pokręciła głową.

Tamas usłyszał trzask i poczuł, jak pocisk drasnął mu lewe ramię, mijając głowę Vlory zaledwie o kilka cali. Marszałek odwrócił się, akurat by zobaczyć, że bagnet osadzony na lufie strzelby powietrznej zmierza wprost w stronę jego brzucha.

Przerzucił Vlorę na drugie ramię i strzelił z biodra, trafiając Hielmena w oko.

Zanim dotarli na czwarte piętro, ostatni z Hielmenów leżeli martwi na schodach. Marszałek i jego kompani mogli zadbać o swoje rany. Olem miał sporo nowych skaleczeń, wymagały szycia, ale nie odniósł poważniejszych obrażeń. Postrzał Vlory był powierzchowny. Dziewczyna mogła oprzeć się na zranionej nodze, co oznaczało, że pocisk nie roztrzaskał kości i nic jej nie będzie. Taniel nie miał nawet zadrapania. Z twarzą wykrzywioną wściekłością wycierał bagnet z krwi. Po drodze dołączyła się do nich Ka-poel. Rudowłosa pachniała siarką i miała czarne całe ręce. Wytarła je o swój kaptan i podchwyciwszy spojrzenie Tamasa, uśmiechnęła się do niego.

Odgłosy walki dobiegające z niższych pięter ustały wreszcie. Tamas odetchnął głęboko kilka razy, wsłuchując się w bicie serca Vlory. Oboje opierali się o ścianę, dziewczyna położyła mu głowę na ramieniu. Odsunął się.

Na schodach pod nimi rozległy się kroki i zobaczyli Sabona. Na mankietach kurtki miał ślady prochu, a wzdłuż ramienia płytką ranę od klingi. Na ich widok odetchnął z ulgą.

– Ktoś został ranny? – zapytał.

– Same draśnięcia – uspokoił go Tamas. – Gdzie byliście?

– W kasynie oficerskim. Pojawili się znikąd.

– Jakież straty? – zapytał marszałek. *Ktoś ważny?*

– Niewielkie – odparł Sabon, nieznacznym ruchem głowy odpowiadając przecząco na niewypowiedziane pytanie dowódcy. – Wygląda na to, że był to głównie motłoch. Wzięli nas z zaskoczenia, ale kiedy już zebrałiśmy ludzi, prawie nie było walki. Wszyscy Hielmeni ruszyli za tobą.

– Czy Dom jest już bezpieczny?

– Pracujemy nad tym.

– Wrogowie schwytoni?

– Pojmaliśmy ponad dwudziestu bez walki. Do tego mamy ze czterdziestu rannych. To ludzie generała Westevena.

– Wiem. – Tamas podszedł do syna, położył mu dłoń na ramieniu. – Dobra robota, Tanielu.

Taniel zdjął bagnet i schował do pochwy. Przerzucił karabin przez ramię. Zerknął na Vlorę, a potem sztywno kiwnął głową ojcu.

– Wracam do pracy, sir.

Tamas odprowadził syna wzrokiem. Krok w krok za Tanielem szła rudowłosa dzikuska. Miał wrażenie, że powinien coś jeszcze powiedzieć. Nie wiedział dokładnie co.

– Sabonie?

– Sir?

– Zawiadom lady Winceslav. Powiedz, że jej żołnierze potrzebni są w mieście. Generał Westeven trzyma barykady i niech mnie otchłań pochłonie, jeżeli pošle swoich ludzi przeciwko niemu na śmierć. Najemnicy muszą zacząć pracować na swoją zapłatę. Przygotuj stanowisko dowodzenia w pobliżu barykad. Przeniesiemy walkę na jego teren. Vlora... – Zawiesił głos, zastanawiając się nad decyzją. – Idź z Sabonem. Chcę mieć cię w swoim sztabie.



– Tanielu!

Zatrzymał się na półpiętrze i spojrzał w górę schodów. Sam nie wiedział, czy poczekać, czy jednak nie. Dobrze znał ten głos. Nie chciał słuchać niczego, co ten głos miał mu do powiedzenia. Czubkiem buta szturchnął

leżące na podeście ciało. Hielmen, którego wypatroszył bagnetem. Mężczyzna zamrugał. Żył jeszcze. Rzucił Tanielowi ponure spojrzenie. Zgrzytnął zębami, nie wydając dźwięku, choć musiał potwornie cierpieć. Taniel zastanowił się, czy wzywać chirurga, czy dobić. Rana była śmiertelna. Przykucnął obok gwardzisty.

– Nie przeżyjesz tygodnia – stwierdził.

– Zdrajca – wyszeptał Hielmen.

– Chcesz żyć jeszcze dzień albo dwa tylko po to, aby odpowiedzieć na pytania śledczych Tamasa? – zapytał Taniel. – Czy zakończyć to już teraz?

Oczy mężczyzny zdradziły jego mękę. Milczał.

Taniel rozpiął pas, złożył, podając końcówkę rannemu.

– Zaciśnij na tym zęby.

Hielmen posłuchał.

Kilka uderzeń serca później było po wszystkim. Taniel otarł nóż o spodnie gwardzisty i wyciągnął pas pomiędzy szcęk nieboszczyka. Dlaczego to w ogóle robił? Przecież powinien być teraz na uniwersytecie i uganiać się za dziewczętami. Próbował sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz uganiał się za jakąś dziewczyną. Pierwszej nocy w Fatraście, jeszcze nim zaczęła się wojna, poznał dziewczynę w portowym barze. Flirtowali całą noc. Gdyby wypił nieco więcej, mógłby się z nią przespać, ale pilnował się, bo pamiętał o Vlorze. Ciekawe, czy dziewczyna wciąż przychodziła do tego baru. Naszkicował ją w swoim kajecie.

Hielmen leżał pogrążony w niezmaconym spokoju mimo rozprutego brzucha i świeżego cięcia na gardle. Ka-poel stanęła kilka kroków dalej, jak zwykle cicha. Przyglądała się martwemu gwardziście, jakby zafascynowana.

– Powinniśmy ruszać – powiedział Taniel.



– Tanielu, poczekaj.

Vlora pospiesznie schodziła po schodach. Potknęła się, chwyciła poręczy i usiadła na stopniu. Zaciskała dłoń na zranionym udzie.

Przez chwilę tylko wpatrywali się w siebie. Vlora pierwsza odwróciła wzrok, popatrzyła na poległego Hielmena.

– Jak się czujesz?

– Żywy – odparł Taniel.

Znów milczeli przez chwilę. Taniel słyszał, jak u góry ojciec wykrzykuje rozkazy. Pomimo niespodziewanego ataku marszałek w ogóle nie dał się wytrącić z równowagi. Wojownik z krwi i kości.

Minęło ich kilku żołnierzy, dwóch szło na górę, jeden schodził na dół. Na parterze, w głównym holu, zapanaowało poruszenie, ludzie marszałka otaczali rannych jeńców.

– Wybacz mi – poprosiła Vlora.

Łzy płynęły jej po policzkach. Taniel zdusił nagły impuls, by do niej podbiec i pocieszyć. Wyczuwał cierpienie Vlory, emocjonalne oraz fizyczne, ale prochowy trans sprawił, że nie robiło na nim wielkiego wrażenia. Wetknął kciuk za pas i zacisnął szczękę.

– Idziemy – polecił Ka-poel.



Adamat zgrzytał zębami ze złości. Od przewrotu minęło już siedem dni, siedem dni, od kiedy odwiedził Uskana, a jedyne, co zdobył, to jeszcze więcej pytań. Kto wy palił strony z książek o historii religii i czarów? Kto zabrał pozostałe książki? I czym, do otchłani, była ta Obietnica Kresimira?

Adamat kazał woźnicy zatrzymać się w Piekarach, kupił pasztecik z mięsem, a potem ruszyli dalej, aleją Hruscha, gdzie między warsztatami rusznikarskimi i odlewniami unosiła się ciężka woń oliwy, drewna, palenisk oraz czarnego prochu. Było tam dzisiaj gwarniej niż zwykle, a tłum gęstszy. Pod każdym sklepem, na schodkach, siedział jakiś chłopak z plikiem papierów, przyjmując zamówienia i podając liczby, tu dobrze odziani dżentelmeni bratali się z najniższymi rangą piechociarzami. Na rogu ulicy stał handlarz, wykrzykujący, że nowy karabin Hruscha obroni każdy dom. Rusznikarze sprzedawali broń tak szybko, jak ją wyrabiali.

Adamat przewertował dzisiejszą gazetę. Pisali, że do miasta powrócił Taniel Dwa Strzały, bohater fatrastańskiej wojny o niepodległość. Teraz ścigał zbiegłą Uprzywilejowaną. Niektórzy twierdzili, że owa Uprzywilejowana to ocalały członek kamaryli. Inni uważali, że jest szpiegiem Kezu, który usiłował uzyskać sekrety prochowej koterii Tamasa. W każdym razie cały kwartał miasta został zrównany z ziemią, zginęły dziesiątki ludzi, jeszcze więcej było rannych. Adamat miał nadzieję, że Uprzywilejowana zostanie ujęta albo opuści miasto, zanim dojdzie do jeszcze większej rzezi. I tak już dość krwi popłynie w zbliżającym się starciu Westevena z Tamasem.

Rojaliści zabarykadowali się w Centestershire, zajmując niemal w całości środkową część Adopestu. Przypuścili wyprzedzający atak na siły Tamasa, jednak zostali odparci. Teraz wyglądało na to, że obie strony łapią oddech. Prawie osiemdziesięcioletni generał Westeven zgromadził wszystkich rojalistów w jednym miejscu i zbudował tyle barykad, że powstrzymałyby całą cholerną armię. Wszystko w jedną noc, przynajmniej tak

to wyglądało. W odpowiedzi marszałek polny Tamas sprowadził całe dwa legiony Skrzydeł Adoma i otoczył Centestershire działami polowymi oraz cięższą artylerią. Jednak do tej pory nie oddano żadnego strzału. Obaj przywódcy mieli wystarczająco dużo doświadczenia, aby nie chcieć zmieniać centrum Adopestu w pole bitwy.

*To jakiś cholerny koszmar* – stwierdził w duchu Adamat. Dwaj najstynniejsi dowódcy Dziewięciu stający przeciwko sobie w centrum milionowego miasta. Tego starcia nikt nie mógł wygrać.

Jednak życie toczyło się dalej. Ludzie musieli pracować, jeść. Ci, którzy nie byli bezpośrednio uwikłani w nowy konflikt, trzymali się od niego z daleka. Tamas wykonał godną podziwu robotę, utrzymując spokój w reszcie miasta.

Jednak dla Adamata sprawy miały się o tyle gorzej, że Archiwum Publiczne, gdzie jak podejrzewał, znajdowały się kopie uszkodzonych ksiąg z uniwersytetu, było teraz za linią barykad rojalistów. Nie czuł się na siłach iść w takie miejsce sam.

Powóz zatrzymał się przed dwupiętrowym budynkiem w bocznej uliczce na skraju Górnego Talienu, najgorszej dzielnicy Adopestu. Dom miał jedno wejście od strony ulicy, podwójne drzwi pomalowane wyblakłą oliwkową farbą, która odłaziła płatami. Mur wokół futryny też był w nie najlepszym stanie. Jedno skrzydło drzwi pozostawało zamknięte, drugie otwarte, stał w nich niewysoki mężczyzna, opierając się o framugę.

Adamat zabrał z dorożki kapelusz i laskę. Trzymając je w jednej dłoni, drugą szukał w kieszeni chusteczki, którą mógłby zasłonić usta, wchodząc do środka. Zapłacił woźnicy, po czym przekroczył próg, bezmyślnie słuchając oddalającego się stukotu podków na bruku.

– Jeramie, gdzie, na Kresimira, znalazłeś jabłko o tej porze roku? – Adamat otarł nos i wetknął chusteczkę do kieszeni.

Odźwierny uśmiechnął się, pokazując krzywe zęby.

– Dobry. Będzie miesiąc, jak żeśmy się nie widzieli, sir, albo i dwa. – Z chrupnięciem ugryzł owoc. – Mam kuzyna, mieszka na południe od Piekar, a on dostaje świeże owoce przez cały rok.

– Mówią, że jeśli negocjacje pójdą źle, to możemy mieć wojnę z Kezem – stwierdził Adamat. – Na kolejne jabłko będziesz musiał czekać aż do jesieni.

– Takie już moje szczęście – stwierdził odźwierny z kwaśną miną.

– Jak dzisiejsze walki?

Zza ronda sfatygowanego kapelusza Jeram wyciągnął pomiętą kartkę.

– SouSmith wygrał trzy razy pod rząd, Formichael wygrał dzisiaj dwa razy. Obaj wyglądają, jakby zaraz mieli paść, ale prowadzący walki ma chyba śmiertciobaka w gaciach i twierdzi, że teraz wreszcie będzie rozstrzygnięcie.

– I już pięć razy walczyli? – parsknął Adamat. – No to ta walka będzie do dupy, oni ledwie dadzą radę stać.

– Ano tak, tak by to wynikało z tabel, ale zakładów było niewiele. A ci, co stawiają, stawiają na Formichaela.

– SouSmith ma mocny cios.

Jeram spojrzał na niego przebiegle.

– Jeśli uda mu się walnąć. Formichael jest bardziej wypoczęty, młodszy i połowę lżejszy od SouSmitha.

– No tak – odparł Adamat. – Wy młodzi zawsze myślicie, że ze starych to już nic nie będzie.

Jeram zachichotał.

– Dobra, no to jak, szefuniu? – Z tylnej kieszeni wyjął złożony papier, pokryty ciemnymi smugami oraz śladami dawno wytartych linii. Oparł go o framugę i uniósł kawałek węgla drzewnego.

– Jaka jest stawka?

Jeram podrapał się po policzku, zostawiając na nim odrobinę węgla.

– Dam ci dziewięć do jednego.

Adamat uniósł brwi.

– Stawiam dwadzieścia pięć na SouSmitha.

– Rzykowne – mruknął Jeram. – Wiadomo. – Wy-skrobał cyfry i złożył papier, a potem wetknął z powrotem do kieszeni. Adamat wiedział, że ten papier jest tylko na pokaz. Jeram miał prawie tak dobrą pamięć jak detektyw, i to bez żadnej Zdolności. Nigdy nie zapomniał twarzy, nigdy nie zapominał liczb i nigdy nie pomylił się przy zakładzie, chociaż kiedyś wielokrotnie mu to zarzucano. Te zarzuty przestały się powtarzać ostatnimi czasy, od kiedy Szafarz przejął ten ring. Ten nie lubił, gdy ktoś oskarżał jego bukmacherów.

Wewnątrz jedyne źródło światła stanowiło prostokątne okno ze szprosami, wysoko pod dachem. Adamat przepchnął się przez serię kotar, tłumiących dźwięk i skrywających to, co działo się w środku, przed ciekawskimi. Całe wnętrze budynku stanowiło jedno wielkie pomieszczenie. Kamienicę wybebeszono dawno temu. Miejsce ścian zajęły zagrody i wyznaczone zasłonami boksy, by zawodnicy mogli mieć chwilę prywatności, odpoczywając po walce. Pośrodku znajdowało się to, co dało budynkowi nazwę: arena, czyli okrągła jama o średnicy dwunastu kroków, głęboka na cztery kroki poniżej poziomu podłogi.

Jamę otaczały rzędy siedzeń, po każdej stronie budynku wznoszące się prawie do stropu. Adamat, schyłony, przeszedł na drugą stronę pod tylnymi krzesłami i łokciami utorował sobie drogę na skraj areny. Trybuny były pełne, mężczyźni siedzieli ramię przy ramieniu. Miejsc wystarczyło dla kilku setek ludzi: dżentelmenów z laseczkami i w kapeluszach, robotników w sfatygowanych kurtkach, a nawet dwóch policjantów, których czarnych peleryn oraz cylindrów nie dawało się przegapić.

Poprzednia walka zakończyła się może z dziesięć minut temu, a pracownicy Areny zasypywali krew świeżymi trocinami, przygotowując miejsce dla kolejnych zawodników. Słysząc było tylko cichy szmer rozmów, mężczyźni pozwalali swym gardłom odpocząć przed następną walką.

Adamat odetchnął zapachem potu, brudu i wściekłości. Powoli wypuścił powietrze, otrząsnął się. Boks na gołe pięści był barbarzyńskim, dzikim sportem. Detektyw uśmiechnął się pod nosem. *Przednia zabawa*. Znów wciągnął powietrze i wychwycił w nim woń chlewa. Nie tak dawno w tym budynku hodowano świnię, a jeszcze wcześniej? Chyba był tu sklep, albo nawet kilka, w czasach gdy Górny Talien miał być najnowszą, najbogatszą oraz najmodniejszą dzielnicą miasta.

Z zagrody na drugim końcu sali wyszło dwóch mężczyzn z obnażonymi torsami. Wkroczyli na arenę ramię w ramię, bez żadnych ceremonii. Robotnicy zeszli, a pięściarze stanęli twarzą w twarz. Mężczyzna po lewej był niższy, chudszy, miał mięśnie niczym postronki, wyraźnie zarysowane, jak u bojowego rumaka. Kędzierzawe, brązowe włosy od czasu do czasu opadały na twarz, zdmuchiwał je za każdym razem. Formichael. Ulubiony zawodnik Szafarza – w każdym razie był nim, gdy Ada-

mat ostatnio obserwował walki. Formichael pracował w magazynie, był przy tym młody i przystojny. Szeptano, że Szafarz szykuje go na kogoś więcej niż zwykłego zbira.

Mężczyzna z prawej sprawiał wrażenie dwukrotnie większego. We włosach błyskały mu pierwsze oznaki siwizny, policzki porastała niedogolona szczecina. Małe, świńskie oczka, osadzone głęboko, spoglądały na Formichaela z niespotykaną intensywnością zabójcy. Ramiona miał tak potężne, że mógłby chyba wygrać zapasy z górskim niedźwiedziem. Pozdzierane kostki dłoni nosiły liczne ślady bliskiego kontaktu z cudzymi szczękami. Niewątpliwie niejedną złamały, a i pewnie na niejednej pękły. Twarz pięściarza pokrywały pomarszczone blizny po byle jak zszytych ranach. Wyszczrzył do Formichaela połamane zęby.

Pomimo przewagi pod względem rozmiaru i doświadczenia SouSmith niewątpliwie był zmęczony. Broda mu opadła po długim dniu wypełnionym walkami, w kącikach oczu czaiło się wyczerpanie, a ramiona nieco się przygarbiły. Ponadto doświadczenie też miało swoją cenę. SouSmith się już starzał, a klatka piersiowa i brzuch obrastały mu tłuszczem od nieumiarkowania w picciu.

Prowadzący walki zszedł na drugi stopień ringu, porozmawiał z zawodnikami. Po chwili się cofnął. Uniósł dłoń, następnie opuścił, odskakując w tył.

Trzystu mężczyzn wrzasnęło, kiedy dwóch bokserów rzuciło się na siebie. Pięści uderzyły w ciało, a odgłos ciosów utonął w ryku z trybun.

- Zabij go!
- Niech krwawi!
- W brzuch! Wal po brzuchu!

Głos Adamata utonął w kakofonii okrzyków. Detektyw nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, co dokładnie

krzyczy, jednak zawarł w tym całą swoją złość na Palaiego i na rozłąkę z żoną i dziećmi. Pochylił się do przodu, machał pięściami i wrzeszczał ile sił w płucach wraz z resztą tłumu.

Formichael paskudnym ciosem dosięgnął żeber SouSmitha. Ten zatoczył się w bok, wtedy młodszy bokser zaatakował ponownie i walnął go jeszcze raz w to samo miejsce. Prawdopodobnie w złamane kiedyś zebro. Pięści zamigotały w słabym świetle. SouSmith zatrząsł się i zatoczył ku ścianie jamy. Oparł się o deski odgradzające go od tłumu. Z widowni natychmiast wyciągnęły się ręce, paznokcie szarpały gołą głowę boksera, plwociny rozbryznęły się na policzku. Adamat patrzył. Głowa pięściarza pozostawała nieco poza jego zasięgiem.

– No dalej! – krzyknął. – Nie daj mu się zapędzić do narożnika!

Coś głośno chrupnęło, a SouSmith opadł na jedno kolano, podnosząc dłoń, by osłonić się przed ciosami Formichaela.

Adamat nie krzyczał już, ale szeptał.

– Wstawaj, sukinsynu – warczał przez zaciśnięte zęby.

Formichael walił SouSmitha po dłoniach i ramionach, aż wreszcie starszy mężczyzna padł na kolana, nie mogąc znieść takiego ataku. Twarz Formichaela pokrasniała, już czuł wygraną. Powoli odpuszczał, aż wreszcie ciosy stały się ledwie klapsami. W końcu Formichael się zatrzymał. Stał, oddychając ciężko, i przyglądał się mężczyźnie u swoich stóp. SouSmith nie podnosił wzroku.

*No przecież! Wykończ go już!* – ponaglał w myślach Adamat.

Jednak Formichael wcale nie miał takich planów. Szczercząc się w uśmiechu, pochylił i złapał SouSmitha za ramię, przyciągając do siebie, aby zadać jeden brutal-



ny cios. SouSmith znowu padł na kolana, dygotał cały. Formichael chciał wszystko przeciagnać. Chciał wykorzystać zmęczenie SouSmitha, które trzymało starego na klęczkach, i bić go, póki nie zetrze pięściami na miazgę.

Formichael wymierzył jeszcze kilka pojedynczych ciosów, dopóki SouSmith nie padł na czworaka. Twarz starszego boksera zmieniała się w miazgę z krwi i ciała. Formichael odwrócił się, uniósł ramiona i napawał się rykiem tłumu. Raz jeszcze odwrócił się do przeciwnika.

Wielkolud zerwał się na nogi w mgnieniu oka. Dwa-dzieścia pięć kamieni masy napędzało jego pięść. Jeden cios, prosto w ładną, młodzieńczą twarz Formichaela. Siła uderzenia poderwała młodego do góry. W locie jego ciało zwiotczało. Niczym szmaciana lalka uderzył o deski ogrodzenia i osunął się na ziemię. Drgnął, a potem znieruchomiał. SouSmith splunął na pokonanego, następnie odwrócił się, powlókł się po schodach i do zagród dla pięściarzy. Wyciągały się ku niemu ręce, poklepując po plecach, obsypywano go gratulacjami. Za nim leciały przekleństwa tych, którzy przegrali zakłady.

Adamat odebrał swoją wygraną, a następnie pocze-kał, aż tłum pozwoli mu niepostrzeżenie przemknąć się do zagród pięściarzy. Wszedł do pomieszczenia Sou-Smitha i zaciągnął za sobą kotarę.

– Niezła walka.

SouSmith zatrzymał się z kubłem uniesionym nad głową i zerknął na Adamata. Przechylił wiadro, pozwalając wodzie splukać warstwę potu oraz krwi, następnie wytarł się energicznie brudnym ręcznikiem. Zadarł głowę w stronę Adamata, skórę wokół oczu miał napuchniętą i posiniaczoną, usta i brwi popękane.

– Ano tak. Dobrze postawiłeś?

– Oczywiście.

– Sukinsyn próbuje mnie zabić.

– Kto?

– Szafarz.

Adamat zachichotał, a potem uświadomił sobie, że SouSmith wcale nie żartuje.

– Dlaczego tak mówisz?

Pięściarz potrząsnął głową, wycisnął czerwono-brązową wodę z ręcznika i zanurzył go w czystym wiadrze.

– Chce, żebym poszedł na dno.

SouSmith zdecydowanie nie był głupi, ale zawsze mówił niewiele i krótko. Pewnie ciężko mu się zbierało myśli po tylu latach obrywania w głowę.

– Dlaczego? Dobrze walczysz. Ludzie przychodzą cię oglądać.

– Ludzie przychodzą oglądać młodszych byczków. – SouSmith splunął do jednego z kubłów. – Ja jestem stary.

– Formichael dwa razy się zastanowi, kiedy znowu każą mu z tobą walczyć. – Adamat przypomniał sobie nieruchome ciało na arenie. Musieli go wynieść. – O ile jeszcze żyje.

– Wyżyje. – SouSmith postukał się w bok głowy. – Będzie się bał.

– A może postara się szybko skończyć walkę – powiedział Adamat.

SouSmith wziął głęboki oddech. Zaśmiał się, ale śmiech zmienił się w atak kaszlu.

– Tak czy owak, dobrze.

Adamat przez chwilę przypatrywał się staremu przyjacielowi. SouSmith nie był takim człowiekiem, jakim wydawał się na pierwszy rzut oka. Czyli zbir, w przeciwieństwie do innych bokserów. Za niewielkimi oczkami kryła się inteligencja, sękaty łapska bywały też de-

likatnymi dłońmi brata i wuja. Wielu źle go oceniało, dlatego między innymi tak często wygrywał. Chociaż pod jednym względem te oceny trafiały w sedno. W głębi duszy, poza swą lojalnością w stosunku do rodziny, poza całą inteligencją, SouSmith był zabójcą.

– Mam do ciebie pytanie – odezwał się Adamat.

– Myślałem, że tęskniłeś.

– Kiedyś mi mówiłeś, że należałeś do ulicznego gangu Złamańców Kresimira.

SouSmith zamarł bez ruchu, z rogiem ręcznika wciąż wetkniętym w ucho. Powoli go opuścił.

– Tak mówiłem?

– Byłeś bardzo pijany.

Nagle ruchy boksera stały się ostrożne. Zerknął w stronę biurka, na szufladę, w której z pewnością trzymał pistolet. Chociaż mężczyzna jego postury nie potrzebował pistoletu.

Adamat zrobił uspokajający gest.

– Byłeś bardzo pijany – powtórzył. – Wtedy ci nie wierzyłem. Byłem tam, gdy wyciągano tych chłopaków ze ścieków. Nie sądziłem, żeby komukolwiek udało się uciec przed tym, co ich załatwiło.

SouSmith przyglądał mu się przez kilka chwil.

– Może nie. Może tak.

– Jak?

Bokser odpowiedział pytaniem na pytanie:

– Dlaczego?

– Prowadzę śledztwo. – Adamat już postanowił, że opowie SouSmithowi o wszystkim. – Dla marszałka polnego Tamasa. Chce wiedzieć, co to jest Obietnica Kresimira.

SouSmith miał minę, jakby te słowa zrobiły na nim wrażenie.

– Jedyń człowiek, któremu nie chciałbym podpaść – stwierdził.

– Dokładnie. Masz jakiś pomysł, co to może oznaczać?

– Nasz herszt był takim odpadem z kamaryli. – SouSmith otworzył szufladę biurka. Wyjął okopconą, starą fajkę i woreczek z tytoniem. Zapalił, a dopiero potem kontynuował. – Krzykacz. Palant. Szukał rozgłosu. Powiedział nam, że nasza nazwa ma przypominać królewskiej kamaryli o jej śmiertelności.

To było najdłuższe zdanie, jakie Adamat od lat słyszał od boksera.

– Mówił, co to oznacza?

– Złam Obietnicę Kresimira. – SouSmith pyknął z fajki. Maleńkie pomieszczenie wypełnił zapach zaprawionego pistacjami tytoniu. – A zniszczysz świat.

– Ale co to za obietnica? – zapytał śledczy.

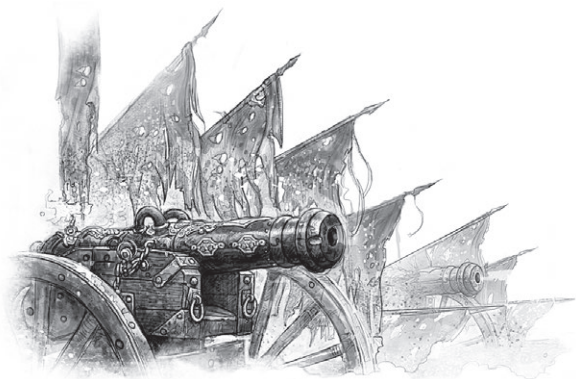
SouSmith wzruszył ramionami.

Adamat postukiwał palcem w szczękę. SouSmith odchylił się na krześle. Nie zamierzał już niczego więcej mówić. Nie na ten temat. Adamat pozwolił myślom odpłynąć ku Palagiemu. Bankier kretyn wciąż wysyłał za detektywem swoich ludzi. Był nieprzewidywalny. Człowiek o posturze i reputacji SouSmitha zdołałby trzymać tego idiotę na dystans. Dopóki nie minie termin spłaty długu Adamata i prawo nie znajdzie się po stronie Palagiego. Ponadto SouSmith mógł się przydać w paru niebezpiecznych miejscach, takich jak Archiwum Publiczne za barykadami rojalistów.

– Czy przypadkiem nie potrzebujesz pracy? – zapytał.

SouSmith spojrział nań badawczo swoimi małymi oczkami.

– Jakiej pracy?



## 9

### ROZDZIAŁ

Taniel znalazł sztab ojca, umiejscowiony nieco poza zasięgiem karabinów przeciwnika. Puste ulice były pełne śmieci, kamienie chodnika mokre od przelotnego deszczu, który spadł w nocy. Niewiele brakowało, a zapachy miasta całkowicie przytłoczyłyby zmysły Taniela, wyostrzone prochowym transem, w którym przebywał niemal bez przerwy od dwóch tygodni. Dla maga świat cuchnął łajnem, strachem, opróżnianymi nocnikami oraz nieufnością.

U boku miał Ka-poel. Miasto wciąż ją zadziwiało – tyle budynków, i to z każdej strony, a wszystkie takie wysokie. Nie podobało jej się. Gestami przekazała Tanielowi swoją opinię. Za dużo ludzi. Za dużo domów. Taniel ją rozumiał. Talent prochowego maga oznaczał w praktyce umiejętność niesienia kuli na mile. Przez najszersze nawet pole bitwy. Co z niego był za pożytek, gdy coś z każdej strony blokowało widok?

Gothen zajął miejsce po drugiej stronie Taniela. Pogromca drapał się po głowie, z tyłu, tam gdzie jeszcze zostały mu włosy. Obserwował barykady z ręką na kolbie jednego ze swoich trzech pistoletów.

– Idziesz tam ze mną? – zapytał Taniel.

Najemnik pokręcił głową.

– Przy twoim ojcu jestem cokolwiek nerwowy.

– Nie ty jeden – mruknął Taniel.

Sztab znajdował się w jednym z setek opuszczonych domów nieopodal centrum miasta. Wokół kręciło się sporo żołnierzy. Ich mundury nie były jednak granatowe, a czerwono-złoto-białe, zaś na sztandarze widniała aureola ze złotymi skrzydłami. Najemnicy ze Skrzydeł Adoma. W większości pochodzili z Adro, bo stąd wywodziła się kompania, ale w ich szeregach można było spotkać mieszkańców każdego innego kraju.

Taniel przeszedł przez ulicę i zatrzymał się pod kamienicą wystarczająco długo, aby straż mogła przyjrzeć się wpiętej w kurtkę baryłce prochu, po czym wszedł do środka razem z Ka-poel depcząca mu po piętach.

Salon domu wyglądał jak wnętrze namiotu dowodzenia. Każdą praktycznie powierzchnię zakrywały płachty map, w kątach ulokowano broń wszelkiego rodzaju i skrzynie z amunicją. Tamas stał za stołem i studiował plan miasta, towarzyszyli mu dwaj komendanci brygad ze Skrzydeł. Ordynans Tamasa rozsiadł się na sofie w kącie i palił papierosa.

Marszałek nie uniósł wzroku znad mapy. Taniel odchrząknął. Żadnej odpowiedzi. Brygadierzy spojrzeli na niego zaciekawieni.

– Chcę Bo – oznajmił.

Tamas dopiero teraz spojrzął na syna. Wyraźnie był poirytowany, jak ktoś, kto rozważał coś głęboko i właśnie mu przeszkodzono.

– Jakiego Bo?

Taniel przewrócił oczami.

– Borbadora. Potrzebuję jego pomocy.

– Nie chcę teraz żadnego Uprzywilejowanego w pobliżu miasta. – Tamas się skrzywił.

– A ta najemniczka, którą wsadziłeś mi na kark? Julene?

– To co innego. Borbador należał kiedyś do królewskiej kamaryli.

– I został z niej wygnany – przypomniał ojcu Taniel. – Poza tym Bo nie przepadał za ostatnim królem. Przyłączył się do kamaryli dla pieniędzy i dziwki z burdelu.

– A wydano go za to, że się przespał z ulubioną nałożnicą przywódcy kamaryli – przypomniał synowi Tamas. Odszedł od stołu i ciężko usiadł na krześle. Przetarł oczy, jak gdyby chciał w ten sposób usunąć zmęczenie. – Kilka miesięcy temu niemal przywrócili go do łask. Zaaranżowałem jego przeniesienie do Straży Górskiej, żeby nie było go tutaj, kiedy będę wyrzynał królewską kamarylę. Dbam o takie rzeczy.

Taniel poczuł drobny przypływ wdzięczności do ojca i znienawidził się za to.

– Jak tam polowanie? – Tamas zmienił temat.

Taniel, składając raport, nadal stał, mimo że ojciec gestem pokazywał, aby usiadł.

– Miejska rezydencja Westevena jest opuszczona. Uprzywilejowana też odeszła. Dobrze ukrywa ślady, a metody Ka-poel, chociaż dokładne, nie są na tyle szybkie, aby dotrzymać kroku komuś, kto ciągle jest w ruchu.

– Julene powinna ją wytropić.

– Z Julene jest więcej kłopotów niż pożytku.

– Julene jest warta pieniędzy, które jej płacę. – Tamas wyprostował się, patrząc na syna. – Już w przeszłości zajmowała się dla mnie różnymi problemami. Jest dyskretna i potrafi myśleć.

– Problemami, co? – powtórzył Taniel. – Takimi jak zniknięcie tych trzech adrańskich Uprzywilejowanych w zeszłym roku? Pisali o tym w gazetach w Fatraście. Za głośno sprzeciwiali się twojej prochowej koterii, o ile dobrze pamiętam.

– Owszem – potwierdził Tamas.

– I ufasz jej?

– Dopóki jej płacę.

– Tamasie, ona jest beczką prochu z krótkim lontem. Ruszyła teraz za tamtą Uprzywilejowaną, razem ze swoim pogromcą magów, poszli sami, wbrew moim rozkazom. Ona albo szuka śmierci, albo w tym wszystkim jest coś osobistego.

– A kiedyż to zrobiłem ciebie dowódcą? – Tamas wstał, podszedł do biurka i nalał sobie szklankę wody.

Taniel zesztywniał.

– Założyłem, że wtedy, kiedy dałeś mi tamtych dwoje. Jestem Naznaczonym.

– Hmm. – Tamas zakołysał wodą w szklance. – Jeszcze raz ta Uprzywilejowana ci się wymknie, a dowodzenie przekażę Julene. Jest skuteczna. Brutalna, kiedy trzeba, ale skuteczna.

– Zrób tak, a będziesz musiał tłumaczyć swojej radzie, dlaczego połowa miasta została zniszczona w trakcie starcia dwóch Uprzywilejowanych. – Jad dźwięczał w głosie Taniela. Czy Tamas naprawdę był taki głupi?

– Dam ci jeszcze jedną szansę – powiedział marszałek.



Taniel zazgrzytał zębami.

– Nie wierzysz, że wykonam swoją robotę? Nie jesteś w stanie, prawda? Co cię przekona, żebyś we mnie uwierzył? Kreski za pięćdziesięciu Uprzywilejowanych na kolbie mojego karabinu? Stu?

– Wiem, do czego jesteś zdolny, ale jesteś jeszcze młody. Masz zbyt gorącą głowę.

– I kto to mówi?!

– Uważaj na słowa. Albo będziesz wykonywał rozkazy, albo przekażę zadanie komuś innemu. Vlora od razu skorzysta z okazji, żeby wrócić do łask.

– Dam sobie radę – odparł Taniel przez zaciśnięte zęby.

– Udowodnij. Posłuchaj Julene. To weteranka łowów na Uprzywilejowanych, sama też jest utalentowanym czarodziejem.

Taniel parsknął.

– O Kresimirze na niebiosach, gadasz, jakbyś się z nią przespał. – Zamilkł na chwilę, bo w oczach Tamasa zamigotały niebezpieczne iskry. Taniel nie zdołał powstrzymać szerokiego uśmiechu. – Zrobiłeś to! Przeleciałeś najemniczkę!

– Dosyć tego, żołnierzu – wtrącił się nieoczekiwanie nowy ordynans marszałka. Przyglądał się ojcu i synowi zza smug papierosowego dymu. Taniel zerknął na niego, a potem na marszałka. Widział żyły występujące ojcu na szyi. Tamas miał zaciśnięte szczęki i pięści. Taniel poczuł, jak jego duma zмага się z nagłym poczuciem zagrożenia. Obaj brygadierzy pochylili głowy nad mapą Dziewięciu, udając, że nie słyszą rozmowy ojca z synem.

Taniel odchrząknął.

– Julene nie potrafi jej wytropić. Sama to przyznała. Uprzywilejowana rozmywa aurę, korzystając z deszczu.

Używałem swojego trzeciego oka i niczego nie znalazłem. Nasza jedyna szansa to Ka-poel, a ona działa wolno. A nawet kiedy już dogonimy Uprzywilejowaną, to ona jest naprawdę potężna. I nie chodzi tylko o siłę jej czarów. Trafiłem ją trzy razy. Wsadziłem jej bagnet w brzuch. A ona zniszczyła dwa budynki i zniknęła. Nadal ucieka, pomimo rany, która powinna ją zabić. Właśnie dlatego chcę Bo.

Wyglądało na to, że Tamas odzyskał już panowanie nad sobą.

– Absolutnie wykluczone. Nie będę ryzykował obecności w mieście Uprzywilejowanego z kamaryli. Może za kilka miesięcy. Musisz poradzić sobie z tym, co masz. Ryze – zwrócił się do starszego z dwóch brygadierów, weterana z przepaską na oku – potrzebuję kompanii w gotowości do dyspozycji Taniela. Daj mu też doświadczonego tropiciela. Takiego, co dobrze sobie radzi w mieście. – Stary brygadier skinął głową, a Tamas odwrócił się z powrotem do syna. – Odmaszerować, żołnierzu.

Taniel zasalutował drwiąco i zrobił w tył zwrot, a następnie opuścił pokój. Zatrzymał się przed sztabem, aby wciągnąć kolejną kreskę prochu. Prochowy trans natychmiast przybrał na sile. Taniel zadrzał i ujrzał świat tak wyraźnie, że zaczęły łzawić mu oczy.

– Przestań tak na mnie patrzeć – odezwał się do Ka-poel.

Dziewczyna przedrzeźniła wciąganie prochu i pokręciła głową.

*Za dużo prochu.*

– Nic mi nie jest.

Znowu pokręciła głową.

– A skąd ty możesz wiedzieć?!

Ka-poel spojrzała gniewnie.

Taniel uciekł wzrokiem. Po drugiej stronie ulicy Gothen poprawiał swój prywatny arsenał, tak żeby móc wygodnie usiąść na podeście.

– Sądzę, że jedno z nich donosi Tamasowi – Taniel odezwał się do Ka-poel. – Za moimi plecami. Z nim to nie wiadomo. Nigdy mi nie ufał. – Potarł nos. – Wciąż uważa mnie za dziecko.

Ka-poel dotknęła pięścią serca i wskazała Taniela.

– On mnie kocha? Ha. Może i tak – zgodził się. – W końcu jest moim ojcem, to powinien. A przecież Tamas zawsze robi to, co należy. Tylko byłoby miło, gdyby mnie jeszcze LUBIŁ. – Ruchem głowy wskazał Gothena. – Nigdy nie przepadałem za najemnikami. – Rozejrzał się szybko, upewniając, że w zasięgu głosu nie ma nikogo ze Skrzydeł Adoma, i kontynuował: – Nawet w połowie nie pracują tak ciężko, jak powinni za pieniądze, które dostają, a jak przychodzi co do czego, to przede wszystkim starają się uratować swoją skórę, zamiast robić, za co im płacą.

Zdawało się, że Ka-poel zastanawia się przez chwilę nad jego słowami. Całkiem dobrze go rozumiała, a przynajmniej wtedy, gdy było jej to na rękę. Jednak gdy mówił zbyt szybko, potrzebowała chwili, by sobie to poukładać.

Wykreśliła w powietrzu kontur kobiety.

– Julene?

Przytaknęła, odsłaniając zęby.

– Też jej nie lubię. Przez nią mogliśmy wszyscy zginąć w walce z tamtą Uprzywilejowaną. Nawet Uprzywilejowana, a zwłaszcza Uprzywilejowana powinna wiedzieć, że nie można do żadnego z nich po prostu podejść i liczyć, że padnie trupem. Ona się zachowuje tak, jak gdyby uważała, że zawsze wygra.

Ka-poel wskazała na niego palcem.

– Ja? – zaśmiał się Taniel. – Ja WIEM, że wygram każdą walkę.

Przeszedł przez ulicę i dołączył do Gothena na podeście.

– Gdzie Julene? – zapytał.

Gothen wzruszył ramionami.

– Zjawia się i znika. Wróci za parę godzin, wie, że mamy robotę.

– Długo z nią pracujesz?

– Dwa lata.

– A dla Tamasa?

– Nieco ponad rok.

– A wcześniej gdzie?

– W Kezie.

– Polowaliście na prochowych magów?

Gothen poprawił się na podeście, zakłopotany.

– Jakiś oszalały Stróż. Uprzywilejowany, były członek kamaryli. Głównie takie sprawy.

– Pewnie braliście niezły pieniądź? – Taniel postanowił nie przyciskać pogromcy w kwestii prochowych magów.

– Bardzo dobry – odparł Gothen. – Jednak kiedy pracowaliśmy dla diuka, sprawy przybrały zły obrót i musieliśmy szybko opuścić kraj.

Taniel zanotował w pamięci, że Julene może żywić urazę do Kezu. To wyjaśniałoby, dlaczego Tamas lubił czarodziejkę.

– Jak wam się udaje razem pracować? – zapytał. – Pogromca magów i Uprzywilejowana jako partnerzy? Przecież nie może używać czarów, kiedy jesteś obok.

Gothen uśmiechnął się krzywo.

– Nie jest tak źle, jak myślisz. Muszę mieć kontakt z Nieświatem – uniósł dłonie, chociaż nie miał na nich

rękawic – aby móc naprawdę odciąć Uprzywilejowanego od magii. A nawet wtedy muszę być w odległości około dziesięciu stóp od niego.

– Co stanowi niezłe wyzwanie – stwierdził Taniel.

– Racja.

Taniel odchylił się lekko.

– Pogromcy są bardzo nieliczni. Wątpię, żeby mój ojciec w ogóle wiedział, w jaki dokładnie sposób pracujesz.

– Rzeczywiście, niewielu nas – zgodził się Gothen. – Spotkałem w życiu tylko jednego. Człowiek nie rodzi się pogromcą magów, jak to jest z Uprzywilejowanym, prochowym magiem czy Naznaczonymi.

– A jak się nim staje?

– Świadoma decyzja – oznajmił Gothen, patrząc przed siebie niewidzącym spojrzeniem.

– I tyle?

– I tyle. Dotknąłem Nieświata i zażyczyłem sobie, aby wszystkie aury odeszły. – Wyciągnął z kieszeni rękawice Uprzywilejowanego i pokazał Tanielowi. Na granatowym tle widniały złote runy, podczas gdy rękawice Uprzywilejowanych były białe, a runy na nich rozmaitej barwy. – Moje rękawice natychmiast uzyskały taki kolor. Z tego, co wiem, to jakiś rodzaj polaryzacji. Teraz kiedy dotykam Nieświata, przestrzeń wokół mnie staje się pozbawiona magii. Nie można przyzywać aur, tworzyć ich ani nimi manipulować. Nawet kiedy nie dotykam Nieświata, aury nie zjawiają się bliżej niż sześć cali ode mnie.

– Czy to można odwrócić? Gdybyś chciał znowu zostać Uprzywilejowanym?

– Nie. – Gothen schował rękawice z powrotem do kieszeni.

Uprzywilejowani byli najpotężniejszymi istotami na ziemi. Ciskali błyskawice z taką łatwością, jak dzieci piłkę. Rozkazywali morzu i ziemi. Taniel nawet nie potrafił wyobrazić sobie, że ktoś dobrowolnie rezygnuje z takiej potęgi.

– Dlaczego? – zapytał.

Gothen trącił butem kamień brukowy.

– Byłem bardzo słabym Uprzywilejowanym, miałem ledwie tyle sił, aby dotykać Nieświata, nie wspominając o władaniu aurami. Nie przeszedłem testu, żeby stać się jednym z Uprzywilejowanych kamaryli. Byłem wściekły. Pomyślałem, że skoro nie chcą zabrać mnie z ulicy i podzielić się swoją władzą i bogactwem, to stanę się tym, kogo najbardziej się boją: nietykalnym dla ich magii.

– A to rozumiem.

Gothen odwzajemnił szeroki uśmiech.

– A teraz zarabiam mnóstwo pieniędzy za ściganie ich i zabijanie.

– Wielu zabiłeś?

Gothen wyprostował pięć palców.

Skoro pracował dla Kezu, to pewnie zabijał także prochowych magów. Nie nosił powietrznej strzelby, ale wystarczyłby mu i pistolet, gdyby wziął maga z zaskoczenia. Taniel słyszał o łowcach nagród, używających pocisków ze złotem. Gdy złoto dostało się do krwi prochowego maga, ten nie mógł zapalić prochu myślą ani wejść w prochowy trans. Na szczęście, sposób ten był zarówno kosztowny, jak i zawodny.

– Co sądzisz o tej Uprzywilejowanej, którą ścigamy? – zapytał Taniel.

– Jest bardzo silna. – Gothen spochmurniał od razu. – Nigdy dotąd nie polowałem na kogoś tak silnego. Julene mówi, że mi się tylko wydaje.

– Moim zdaniem nie – poparł go Taniel. – Byłem przy tym, jak rozwalila tamte budynki. Nie zabiła mnie tylko dlatego, że stałeś między nami. Dziękuję ci.

Gothen przytaknął niepewnie.

– Myślę, że jest coś, o czym powinieneś wiedzieć.

– Co?

– Kiedy skoczyłem przed ciebie, dotykałem Nieświata. I jak nic byłem dość blisko, by ją odciąć. Nie powinna w żadnym razie być w stanie sięgnąć do aur. A jednak sięgnęła. Nigdy dotąd się z czymś takim nie spotkałem.

Taniel wytarł odrobinę potu, która perliła mu się na czole.

– Lepiej ostrzeż swoją partnerkę, żeby nie była zbyt pewna siebie.

– Jak gdyby mnie słuchała – odparł Gothen. – W tym jest coś prawie... osobistego. Jak gdyby nie chciała twojej pomocy... Do otchłani, jak gdyby nie chciała nawet mojej pomocy.

– Proszę bardzo, może załatwić to sama – prychnął Taniel.

– Co załatwić sama?

Taniel drgnął. Julene stała za nimi, z ręką na biodrze i z brwiami zmarszczonymi tak mocno, że koniuszek jednej dotykał blizny. Zbliżyła się do nich zupełnie niepostrzeżenie. Tyko Ka-poel nie była zaskoczona.

Milczeli wszyscy. Gothen próbował unikać wściekłego spojrzenia Julene, pod którym niemal się skurczył. Taniel wstał.

Prawie natychmiast znalazł się na bruku, gdy ulica zakołysała mu się pod nogami.

– Trzęsienie ziemi! – ktoś krzyknął.



Tamas opierał się właśnie o krawędź stołu z mapą, gdy ziemia zaczęła wierzgać. Zatoczył się na ścianę, potem rzuciło nim na podłogę. Tynk sypiący się z sufitu przesłonił wewnątrz pomieszczenia. Tamas rozpląszczył się na podłodze, żołądek mu się skręcił na widok stołu kołyszącego się gwałtownie z jednej strony na drugą, póki nie pękła drewniana noga. Wtedy mebel przewrócił się, podrygując przy tym jak liść na wietrze. Z półek pospadały bibeloty, a chwilę później meble też poleciały na podłogę. Z ulicy słychać było wrzaski paniki.

Trzęsienie ziemi skończyło się tak szybko, jak się zaczęło. Tamas dzwignął się z podłogi, otarł tynk z twarzy. Pokój wydawał się nienaruszony, chociaż większość mebli rozpadła się na kawałki. Marszałek odetchnął z ulgą. W tej okolicy sporo gmachów było starych i niezbyt mocnych, równie dobrze Tamas mógłby zostać pogrzebany pod zwałami gruzu. Pomyślał, że sporo osób miało mniej szczęścia.

Olema rzuciło na podłogę, a na niego zwała się biblioteczka. Nogi Tamasa uginały się pod nim, jak gdyby całe miesiące spędził na morzu. Podszedł ostrożnie do biblioteczki i podniósł mebel, uwalniając swojego ordynansa.

Olem leżał na plecach, jedną dłonią pocierał czoło, a drugą odgarniał przygniatające go książki. Skwapliwie uchwycił wyciągniętą rękę Tamasa.

– Krwawisz, sir – zauważył.

Marszałek dotknął czoła. Na palcach pozostał mu szkarłat.

– Nawet nie poczułem – zdziwił się.

– Na pewno kawałek tynku – stwierdził Olem.



Spojrzał w górę. W suficie było kilka sporych dziur, jedna dokładnie nad stołem sztabowym.

– To tylko guz – stwierdził marszałek. – Nic mi nie jest.

Rozejrzał się niepewnie, wciąż czuł się oszołomiony. Minie kilka godzin, zanim przywróci się tutaj porządek. Zachwiał się.

– Panie, na pewno wszystko w porządku? – zaniepokoił się Olem, podtrzymując Tamasa.

Marszałek zbył go ruchem ręki.

– W porządku, w porządku. Zobaczmy, jakie są szkody na zewnątrz.

Na ulicy panował chaos. Ludzie wybiegli z domów, wołając o pomoc. Najemnicy starali się postawić działa polowe, przewracane niczym dziecięce zabawki. Kamienie bruku powyskakiwały z ulicy, wydawało się, że ziemia się pod nimi rozciągnęła. Pobudowane ciasno kamienice zawałyły się, zasypując ulice ceglami.

Przed Tamasem zatrzymał się jeden z najemników ze Skrzydeł Adoma.

– Panie, nastąpiło trzęsienie ziemi – powiedział.

– Dziękuję, żołnierzu. Tyle to sam wiem.

Mężczyzna odszedł spiesznie, sprawiał wrażenie ogłuszonego. Tamas i Olem wymienili spojrzenia.

– Nie miewamy tu zbyt często trzęsień ziemi – zauważył Tamas.

Olem potrząsnął głową.

– Za mojego życia jeszcze żadnego nie było.

Tamas odwrócił się, szacując zniszczenia. W pewnych częściach miastach sytuacja z pewnością rysowała się gorzej, w innych lepiej. Nawet nie chciał myśleć, co się teraz działo w porcie.

– Czy Szabloząb nie przechylił się cokolwiek, sir? – spytał Olem.

Tamas spojrział. Czarna wieża, wznosząca się na zachodzie ponad dachami budynków, rzeczywiście zdawała się nieco krzywa.

– Przynajmniej nie wywalił się od razu. Olemie...

– Tak, panie?

– Znajdź jakichś gońców. Chcę mieć informacje o zniszczeniach z całego miasta. Chcę wiedzieć, co z barykadami. Jeśli powstały w nich jakieś wylomy, to może być nasza szansa, żeby się przebić.

– Teraz?

– Zdecydowanie teraz. Generał Westeven wykorzysta ten chaos, aby przesunąć barykady na nasz teren, wzmocnić je gruzem po trzęsieniu. Też powinniśmy to spożytkować.

– Na pewno nie jesteś ranny, panie?

– Na pewno. Ruszaj.

Olem oddalił się, nie zwlekając. Tamas poczekał, aż ordynans zniknie mu z oczu, a potem ciężko oparł się plecami o ścianę. Głowa pulsowała bólem. Widział sylwetki spieszenie z barykad na ulicę, aby pochwycić cegły oraz kamienie i wrzucić za zapory.

– Ryze! – zawołał Tamas.

Brygadier najemników zbliżył się, lawirując między kamieniami i kawałkami muru.

– Czy któreś z tych dział są gotowe do użycia? – zapytał marszałek.

– Osie są pogiete, koła połamane. Musimy wezwać paru kowali.

Tamas wskazał barykady.

– Każ swoim chłopakom podejść na odległość strzału, nie pozwól Westevenowi wzmocnić barykad.

Ryze zasalutował, zrobił w tył zwrot i zaczął wyrzaskiwać rozkazy.

Tamas wrócił do budynku. Postawił wywrócony fotel, poszukał wśród bałaganu zapasowego płaszcza, złożył go i przycisnął do głowy, a potem usiadł ciężko.

– Ma pan okropnego guza na czole.

W drzwiach stanął jakiś mężczyzna, wsparł dłonie na biodrach i szacującym wzrokiem przyglądał się zniszczeniom. Miał cienki wąsik i długie czarne włosy splecione w warkocz, przerzucony przez ramię. Ważył ze dwadzieścia kamieni, nawet więcej, i przewyższał Tamaśa o półtorej głowy. Lekko żółtawy odcień skóry wskazywał na rosvelskie korzenie, ale nieznamy mówił z akcentem rodowitego Adrańczyka. Ubrany był w brązowe spodnie oraz długą, przybrudzoną białą koszulę miejskiego robotnika i sfatygowany surdut.

– Owszem – stwierdził Tamas, ostrożnie przyciskając palce do skroni. – Tak sędzę. Jesteś pan chirurgiem?

Mężczyzna, zaskoczony, spojrział na ręce.

– Nie sędzę. Te mięsiste dłonie mają tylko jedno powołanie: kuchnię.

– Kucharz? – Ledwie odesłał Olema, a już jakiś przybłąda wlał mu prosto do sztabu. – Jak pan potrzebuje pomocy, to na pewno żołnierze rozstawiają już szpital polowy.

Mężczyzna zmrużył oczy.

– Kucharz? – warknął przez zęby. – Czy ja wyglądam jak tani dostawca wodnistej zupy i rozgotowanego mięsa? Jestem kuchmistrem, do cholery, i proszę na przyszłość uważać, kogo pan nazywa kucharzem. Uczucia łatwo zranić.

Tamas opuścił dłoń, odsuwając ją od zranionej głowy, i przyjrzał się mężczyźnie. A ten to myślał, że kim

jest, u licha? Rozbawienie zmieniło się w rozdrażnienie, gdy mężczyzna wszedł do pokoju, postawił sobie leżące obok Tamasa krzesło i usiadł wygodnie.

– Wiesz pan, kim ja jestem? – zapytał marszałek ostro.

Mężczyzna machnął ręką, drugą poprawiając wielkie brzuszysko, żeby wygodnie spoczęło mu na kolana-  
nach.

– Marszałek polny Tamas, o ile się nie mylę.

Co za tupet.

– Kim pan jest?

Mężczyzna wyjął chusteczkę z kieszeni i otarł czoło.

– Cholernie tu gorąco. Ale gdzież moje maniery? Jestem Mihali, syn Moaki, lord Złotych Kuchmistrzów.

Złoci Kuchmistrzowie, to brzmiało znajomo, jednak Tamas nie mógł sobie przypomnieć, o co dokładnie chodziło.

– Moaka? – zapytał Tamas. – Ten na-baron?

– Mój ojciec przede wszystkim uważał się za znawcę kulinariów. Niech Kresimir ma jego duszę w opiece.

– A tak – stwierdził Tamas. Ostrożnie dotknął głowy. Przestała już chyba krwawić, ale ból stawał się coraz mocniejszy. – Byłem kiedyś na jednym z jego bankietów. Jedzenie niezrównane. Zmarł w zeszłym roku, nieprawdaż? – Nawet syn na-barona tutaj nie pasował. Gdzież, do licha, podziwiał się Olem?

– Zawsze wszystko przyrządzał sam. – Mihali zwiesił głowę. – Co za szkoda. Serce odmówiło mu posłuszeństwa, kiedy kosztował mojego jagnięcego sufletu. Był taki dumny, iż wreszcie go przerosłem. – Przybysz zapatrzył się przed siebie niewidzącym spojrzeniem, po-  
grążając we wspomnieniach.

– Proszę mi wybaczyć – odezwał się Tamas. Łupanie w głowie stawało się coraz mocniejsze. – Czego pan tu, u licha, szukasz?

– Och – powiedział Mihali. – Najmocniej przepraszam. Jestem bogiem Adomem odrodzonym.

Tamas nie zdołał się powstrzymać i parsknął śmiechem. Klepnął się w kolano.

– Święty Adom, co? A to dobre. Au! – Chwyił się za głowę. Śmiech nie był jednak dobrym pomysłem.

– Święty – prychnął Mihali. – Wraz z Kresimirem zmieniłem chaos w porządek, a ci ludzie relegowali mnie do bycia świętym. Och, no dobrze, nie można mieć wszystkiego, nieprawdaż?

Tamas postarał się zdusić chichot.

– Na Kresimira, pan mówisz poważnie?

– Oczywiście – powiedział Mihali. Przyłożył sobie dłoń do serca. – Przysięgam na zupełną kabaczkową mojej matki.

Tamas wstał. Czy to był jakiś żart? Dowcip Sabona? Może Olema. Ordynans stanowczo na zbyt wiele sobie pozwalał.

– Olem! – zawołał marszałek. Żadnej odpowiedzi. Zaklął pod nosem. Kazał ordynansowi wysłać gońców, a nie osobiście przeprowadzać inspekcje w całym mieście. – Olemie! – Wystawił głowę na korytarz. W pobliżu nikogo nie było.

Odwrócił się i stanął twarzą w twarz z Mihalim. Kuchmistrz zerknął za próg.

– Tak naprawdę to jeszcze nie chcę się z nikim spotkać, dziękuję – powiedział. – Nie chcę robić zamieszania. Spotkanie z bogiem to, jak sądzę, niesłychanie poważna sprawa.

– Kim pan jest? Aktorem? – zapytał Tamas. Palcem dziabnął mężczyznę w brzuch, spodziewając się, że kożula okaże się wypchana. Brzuch był jednak najprawdziwszy na świecie. – Niezły pokaz, ale nie jestem w nastroju.

Mihali wskazał głowę Tamasa.

– Nieźle pan oberwał – stwierdził ze zrozumieniem. – Wiem, że to sporo do przetrwania. Może powinien pan na chwilę usiąść. W tym ciele moje wspomnienia są jeszcze niedoskonałe, ale zrobię wszystko, co w mojej mocy. – Odchrząknął. – Czy umierający Uprzywilejowani ostrzegli pana, tak jak powinni?

Tamas zastygł z dłonią w połowie drogi do rany na głowie. Chwycił Mihalego za klapy marynarki.

– Przed czym mnie ostrzegli?

Mihali zdawał się naprawdę zmieszany. Przepraszając wzruszył ramionami.

– Jak mówiłem, moje wspomnienia nie są takie, jakie powinny. – Zdawało się, że się ożywił. – Jednak polepszą się z czasem. Tak sędzę.

– Dosyć żartów – powiedział marszałek. – Kim jesteś, do otchłani?

Tamas poleciał na ościeże, rąbnął w nie barkiem, potem upadł na podłogę. Przez chwilę sądził, iż Mihali go uderzył, ale potem uświadomił sobie, że to kolejne trzęsienie ziemi. Serce podeszło mu do gardła, złapał się framugi i patrząc na sypiący się tynk, modlił się, by tym razem nie zawalił się cały budynek. Wszystko trwało kilka sekund.

Wstał, otrząpał się z pyłu i rozejrzał. Obcy zniknął. Tamas zazgrzytał zębami, wyrzwał na korytarz. Olem stał oparty o ścianę.

– Gdzie się podziewałeś, do otchłani? – zapytał Tamas.

– Szukałem gońców – odparł Olem. – Panie, wszystko w porządku?

Tamas przyjrzał mu się uważnie. Nie dostrzegł nawet cienia kpiny. Nikt nie potrafił robić kawałów z tak kamienną twarzą.

– W porządku. Czy widziałeś, żeby ktoś tędy przechodził?

Olem zerknął na niego, rozejrzał się w obie strony korytarza. Sięgnął do gruzu pod stopami, wyłowił stamtąd wciąż tłącego się papierosa.

– Nie, panie.

Tamas wrócił do pokoju, pewien, że dom ma jakieś tylne drzwi. Jednak przecież nikt nie mógł przejść przez pokój, kiedy ziemia wyprawiała takie harce.

*Jak mocno uderzyłem się w głowę?*

## JUŻ W KSIĘGARNIACH!



KUP TERAZ



KUP TERAZ

TRYLOGIA  
MAGÓW PROCHOWYCH

TOM 1 • OBIETNICA KRWI

TA KSIĄŻKA JEST PO PROSTU OBLĘDNA.  
ZŁAPAŁEM SIĘ NA TYM, ŻE WSZYSTKO MI SIĘ  
W NIEJ PODOBAŁO. NOWE PODEJŚCIE DO MAGII,  
SZYBKA AKCJA, CIEKAWY ŚWIAT. ALE UBAW!

BRANDON SANDERSON

*Królowie... Wyciskają z ludzi ostatnią  
kroplę krwi dla kolejnego klejnotu w koronie.*

*Kto im powie: „Dość!”? Ja.*

*Dość marnotrawstwa, chciwości i korupcji.*

*Dość szlachty pijącej krew ludu.*

*Ich magia zostanie potępiona.*

*Ja im pokażę nowy rodzaj czarów:*

*...proch i kule.*

*Jutro odzyskam i oddam ludziom ich kraj.*

*Łpoka królów dobiegła końca i to moje dzieło.*

Tom drugi  
trylogii

zobacz trailer



fabrykaslow.com.pl

ISBN 978-83-7964-060-7



9 788379 640607

Wyłączny  
dystrybutor



44,90 zł\*

\* cena zawiera 5% VAT

facebook.com/fabryka

Patroni medialni

